



Rozdział 1

Gibson Oliphant podążył za nim w ciemność poza jaskrawo oślepiające światło pawilonu Festiwalu Wiosny. Muzyka wzmacniała jeszcze jasne światła i wzbudzała śmiech polką. Boże, nie cierpiał polek. To nie było duże poświęcenie zostawić to na korzyść Bena Landry.

Ben wydawał się kogoś szukać. Wystawiał głowę zza każde drzewo, a potem zmieniał kierunek obierając drogę do lasu.

Gibbs wiedział z doświadczenia, że między drzewami ukryty był zagajnik, gdzie spotykały się pary. Nigdy tam nie był, osobiście, ale wydawało się, że Ben kierował się właśnie tam.

Teraz albo nigdy, zdecydował Gibbs. Po prostu nie chciał być złapany na robieniu tego z Benem tam, gdzie każdy w mieście mógł się o nich potknąć.

Kiedy Ben zniknął na szlaku, Gibbs poszedł za nim, przemykając między jednym a drugim cieniem. Był na tyle blisko, że mógł go dotknąć, gdy Ben się obrócił.

- Hej – zamruczał Ben łagodnie.

Powitanie zaskoczyło Gibbsa. Czy Ben wiedział, że Gibbs za nim podążał? Wyglądało na to, że tak.

- Cześć – odpowiedział.

- Myślałem o tobie cały wieczór – wyznał Ben.

Gibbs uśmiechnął się, czując się nedorzecznie szczęśliwy.

- Naprawdę?

- Tak.

Gibbs podszedł trochę bliżej, wiedząc, że jego wyostrzona zdolność widzenia w ciemnościach dostarczała mu dużo lepszego widoku na Bena, niż jego ludzkie oczy na Gibbsa.

- O czym szczególnie myślałeś?

Ben uśmiechnął się trochę skrępowany.

- O całowaniu cię, przeważnie.

- Lubię całowanie – oznajmił Gibbs ściągnając okulary i wsuwając je do tylnej kieszeni spodni. Były tylko przykrywką dla tego, czym był. Ostatnią rzeczą, jaką chciał w tej chwili, było to, by im przeszkadzały.

Szło o wiele łatwiej niż przewidział. Był niemal pewny, że Ben był gejem. I było miłą niespodzianką to, że Ben go pragnął.

Słaby zapach ponczu rumowego powiedział Gibbsowi, że Bena prawdopodobnie był trochę bardziej rozluźniony niż zwykle, ale wydawał się mieć wszystkie zmysły skupione na nim. Więc, kiedy Ben się zbliżył i jakby mimochodem objął Gibbsa ramionami w pasie, wiedział już, że od tej chwili sprawy potoczą się jeszcze lepiej.

Gibbs podniósł rękę zamierzając zdjąć maseczkę z przyjęcia.

- Nie, zostaw – powstrzymał go Ben. – Jeśli będę patrzył jak się pochylasz, żeby mnie pocałować, mogę dojść w spodniach. – A potem zachichotał.

Dźwięk ten ogrzał Gibbsa nisko w jego brzuchu i zgodził się cichym, nieśmiałym tonem.

- Okej.

Gibbs czuł się tak, jakby dostał prezent. Ben spędzał większość swojego czasu poza ich społecznością, zaszyty w swoim maleńkim biurze Departamentu Zasobów Naturalnych. Do jego chaty także nie łatwo było się dostać. To czyniło Bena wspaniałym w jego pracy i perfekcyjnym partnerem dla Gibbsa.

Podobnie jak Ben, Gibbs lubił być sam. Lubiał szybować nocami nad lasem, mając za towarzystwo tylko gwiazdy. To było podobne do jazdy windą, kiedy nagle opadała. To był ten sam stan nieważkości w brzuchu, jaki Gibbs czuł, gdy zmieniał się w sowę i latał wieczorami, gdzie nie było niczego oprócz wiatru i nieba. To było to samo opadające wrażenie w żołądku, które czuł za każdym razem, gdy okazjonalnie widywał Bena w miejscowym sklepie, a ich oczy się spotykały.

Gibbs prawie nie mógł uwierzyć, że ten moment się zdarza. Ile nocy przelatywał nad małą chatą Bena, siadał na poręczy jego ganku i pohukiwał cicho na niego, gdy Ben

sączył herbatę i rozmyślał o niczym? Zbyt wiele, dlatego zdecydował, że dzisiejszy wieczór będzie tym, kiedy dokładnie powie Benowi, co do niego czuje.

Gibbs przyciągnął bliżej mniejszą postać Bena do swojej piersi. Pochylił się, by musnąć włosy Bena i zamknął oczy wdychając jego zapach.

- Nigdy nie sądziłem, że będę miał szansę trzymać cię w moich ramionach w ten sposób – wymruczał Gibbs.

Ben westchnął, opierając policzek o bark Gibbsa.

- Nigdy nie myślałem, że tego chcesz.

Gibbs wsunął swoje biodra do przodu, przyciskając zdecydowanie swoją erekcją do brzucha Bena.

- Nadal masz wątpliwości?

- Nie. – Odpowiedź Bena wymknęła się niczym zdyszany oddech.

Obrócił swoją twarz do szyi Gibbsa. Ben pocałował go łagodnie. To było jedyne pozwolenie, którego Gibbs potrzebował. Ostrożnie poprowadził Bena, by oprzeć go o wysokie drzewo. Odchylił brodę Bena, wdzięczny za to, że może zobaczyć każdy niuans na jego twarzy. Bycie sową miało swoje zalety i Gibbs właśnie zdał sobie sprawę, że obserwowanie mężczyzny, w którym był zakochany, czekającego na pocałunek, było jego ulubionym widokiem.

Oczy Bena przeszukiwały ciemność po omacku. Jego wargi się rozdzieliły, a oddech wyśliznął się z nich niczym jedwabne nici. Jego twarz była już odprężona, czekająca na to, kiedy Gibbs postanowi, że nadszedł czas.

A Gibbs wiedział, że był teraz.

Pochylił się, zręcznie unikając zderzenia się plastikowych masek. Ben sapnął, unosząc się nagle na palcach u nóg. Plastik uderzył o plastik, a krawędź maseczki Bena zaczepiła się o Gibbsa.

Gibbs zachichotał.

- Nadal chcesz to zostawić na twarzy? Martwiłeś się, że mnie zobaczysz, ale jest zbyt ciemno, żeby tak się stało.

- Pieprzyć to – odetchnął Ben.

Zerwał plastik, a potem po omacku sięgnął po Gibbsa. Gibbs przesunął trochę w lewo swoją twarz w kierunku poszukujących palców Bena. Uśmiechnął się tryumfalnie, gdy Ben odnalazł maseczkę. Jego palce szarpnęły ją przez głowę Gibbsa, a kiedy odrzucił maskę, Ben zatopił swoje palce we włosach Gibbsa.

- Takie miękkie. Nigdy bym nie przypuszczał.

- Myślałeś, że moje włosy będą twarde? – zapytał Gibbs, nie wiedząc jak przyjąć to stwierdzenie.

- Szalone, prawda? Oczekiwałem, że twoje włosy będą sztywne albo coś podobnego.

- Dzięki pochlebstwu dostaniesz to, co chcesz – powiedział sucho Gibbs.

- Fantastycznie. Pragnę cię. Natychmiast. – Ben nagle się roześmiał. – Nie mogę uwierzyć, że właśnie to powiedziałem.

Gibbs uśmiechnął się, pochylając się ku niemu, podczas gdy jego ręce zsunęły się po plecach Bena na jego tyłek.

- Podoba mi się to. Śmiałość pasuje do ciebie.

Ben przechylił głowę, całując od spodu szczękę Gibbsa.

- W takim razie nadal będę śmiały, nawet jeśli mnie to zabije.

- Lepiej nie. Lubię, kiedy mój kochanek żyje i się wije – drażnił się Gibbs.

Ben się roześmiał. Ten dźwięk napełnił pierś Gibbsa radością. Nigdy przez milion lat nie pomyślałby, że posiadanie Bena będzie tak łatwe, tak wzajemne. Był najszcześliwszy zmiennym na planecie.

Ben szarpnął koszulkę Gibbsa do góry, wsuwając pod nią swoją rękę. Gibbs jęknął nie tyle na ten kontakt, co na dotyk dłoni Bena na swoim ciele w sposób, w jaki nie śmiał nawet sobie wyobrazić.

- Nie sądzę, żebym mógł zwolnić – wyznał Ben. – Pragnąłem tego od dłuższego czasu. Nie jestem zbyt szybki?

- Nie. – By to udowodnić, Gibbs sięgnął do zapięcia dzinsów Bena, szarpiąc guzik i pociągając zamek całkowicie w dół.

Oddech Bena zatrzymał się na chwilę.

- Nie mam prezerwatywy.

Gibbs wepchnął rękę w bieliznę Bena, drżąc zanim w końcu zawinął ją wokół sztywnego fiuta, żywego od gorąca i już wilgotnego na czubku.

- Ani nawilżacza – dodał Ben.

Jego głowa opadła na pień, oczy zamknęły, wargi rozchyliły. Gibbs oparł swoją dłoń nad głową Bena, spoglądając w dół na uniesioną twarz Bena, obserwując kalejdoskop odczuć i przyjemności przetaczających się po jego twarzy. W ciemnościach nocy, Ben nie krył żadnych swoich uczuć. Gibbs uwielbiał każdą minutę obserwacji reakcji Bena nieukrytej za nieśmiałością.

- Uwielbiam patrzeć na ciebie – wymruczał Gibbs, przeciągając palcami w dół i w górę po erekcji Bena. – To jest tak cholernie seksowne.

Wargi Bena drgnęły.

- Nie możesz mnie widzieć. – Jego powieki otworzyły się częściowo. Brwi ściągnęły się razem. – Możesz?

- Dziecino, patrzę na ciebie przez cały czas. Bardziej niż zdajesz sobie sprawę, jak sądzę. Pojawiłbym się prędzej, gdybym wiedział, że jesteś zainteresowany.

- Chciałem tego.

Palce Bena odnalazły sutki Gibbsa. Trącił je, wysyłając iskrę elektrycznej przyjemności prosto do kutasa Gibbsa.

- Ja też – zgodził się Gibbs.

Napełniał swoje oczy Benem, wchłaniając każdy jego grymas. Sięgnął między usta Bena swoim psychicznym okiem, ale odmawiając sobie pocałunku, którego rozpaczliwie pragnął, by przedłużyć głód i sprawić, że punkt kulminacyjny będzie jeszcze słodszy. Gibbs pompował wolno fiuta Bena.

Ben przykrył ręką tył głowy Gibbsa i pociągnął w dół.

- Cholera pocałuj mnie, w tej chwili.

- Tak jest, oficerze Landry.

Ben pocałował go. Gibbs odsunął się, pozwalając tylko na lekki dotyk ich warg. Miętko, słodko, delikatnie, jakby w przeciwieństwie do pięści pieprzącej fiuta Bena.

Mógł wyczuć potrzebę, zobaczyć ją na twarzy Bena, ponieważ kusił Bena po więcej. Gibbs nie wiedział, kogo tortuował bardziej, Bena czy siebie.

Następnym razem, gdy Ben go przyciągnął, zrobił to dwiema rękami, a Gibbs przyjął otwarty, mokry pocałunek. Ich wargi zderzyły się ze sobą, otwierając dla zębów i języków. Czubki ich języków otarły się jeden o drugi – jak obietnica, łagodne liźnięcie, zaproszenie.

Gibbs jęknął szorstko, przechylając głowę by mieć lepszy dostęp do smakowitego pocałunku Bena. Mocny, smakujący rumem głód rozlał się po języku Gibbsa. Ben oddawał pocałunek za pocałunek, uzależniając Gibbsa, osłabiając jego determinację, dopóki Gibbs nie mógł już dłużej opierać się pragnieniu posiadania go.

Odsunął się, tym razem bez zamiaru droczenia się, ale ze skrajnej potrzeba wzięcia Bena w sposób, w jaki zawsze go pragnął.

Gibbs osunął się na kolana. Podciągnął koszulkę w górę torsu Bena, odsuwając ją ze swojej drogi, kiedy wyczałowywał ścieżkę w dół ciała Bena. Ben wessał drżący oddech. To sprawiło, że jego brzuch wciągnął się, a Gibbs stwierdził, że nie może się oprzeć przeciągnięciu językiem po odkrytym wgłębieniu.

Oddech ponownie zadrżał w Benie. Gibbs skrobął zębami po szczupłych mięśniach brzucha Bena. Ben pomógł ściągając swoją koszulkę. Gibbs z łatwością ściągnął w dół spodnie mężczyzny. Przyciskając swoje czoło do brzucha Bena, spojrzał na długi, twardy pręt wystający w stronę ciepłych ust Gibbsa. Z ogromną przyjemnością zobaczyłby go za dnia, ale skąpe światło było na tyle życzliwe, za co Gibbs był wdzięczny, że omywał go w widmie, które mógł zobaczyć tylko Gibbs.

Fiut Bena się wyciągnął.

Gibbs przykrył jego jądra, sprawdzając ich ciężar. Przesunął kciukiem po pomarszczonym worku, uśmiechając się krzywo, gdy biodra Bena uniosły się, a jęk wydobył się z głębi jego piersi z pożądania.

- Proszę. Proszę, nie każ mi czekać – błagał Ben.

Jakby dla potwierdzenia swoich słów, zacisnął ręce we włosach Gibbsa i pokierował nim do czubka swojego fiuta. Gibbs wysunął język, łapiąc kroplę wilgoci, pozwalając smakowi Bena wypełnić swoje usta jego śliską, słono-słodką esencją. Gibbs zapamięta ten moment na bardzo długo, jak sobie uświadomił. Nie chciał się spieszyć, jednak obaj wydawali się być prawie na krawędzi żądz, która płynęła w ich żyłach.

- Boże, próbujesz mnie zabić? Czy to jest odwet za to, że nie szukałem cię wcześniej?

- Nie, Ben, po prostu delectuję się tobą. Nie chcę zapomnieć tej chwili, w której po raz pierwszy będę miał cię w moich ustach, ani o żadnych słodkich rzeczach, które będziesz wykrzykiwał, gdy będę ci obciążał – odparł ochryple Gibbs. – Następnym razem jak będziemy razem... – wyciągnął ręce i ścisnął tyłek Bena. – On jest mój.

- Twój – zgodził się Ben.

Gibbs przytrzymał fiuta Bena przy podstawie, a potem zamknął usta na jego czubku. Przebiegł językiem od spodu, naciskając, dotykając rozszerzoną obwódkę, wirując wokół maleńkiej dziurki na górze. Ben wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw, które zawstydyłyby marynarza.

Duma wypełniła pierś Gibbsa, że robił dokładnie te rzeczy, by go zadowolić. Przytknął dłoń do brzucha Bena, przesunął po jego torsie i zatrzymał na walącym sercu Bena.

Gibbs pochłonął erekcję Bena, biorąc go głębiej. Fiut Bena był cieńszy niż Gibbsa, ale nie za bardzo. Gibbs zacisnął wokół niego usta, wrywając niewyraźny dźwięk z gardła Bena.

Boże, Gibbs naprawdę chciał zrobić to we właściwy sposób. Nie weszli stopniowo w ten związek, tylko skoczyli na głęboką wodę. Przeszli od przelotnych spojrzeń i wizyt Gibbsa w postaci sowy, do seksu w samym lesie, który zaczęli uprawiać w pierwszym lepszym miejscu. To było poetyckie. To było doskonale. Ben był idealny. A Gibbs po prostu chciał zrobić *to* doskonale, dla niego.

Nigdy nie wątpił wcześniej w swoje umiejętności. Tylko Bóg wiedział, że nabył dość praktyki w seksie ze swoimi współlokatorami. Ale to było coś innego. Byli tylko on i Ben, wyłącznie tylko on i Ben. Ben był kimś wyjątkowym w sposób, w jaki Gibbs nie mógł określić i przypuszczał, że to dlatego, iż Ben znaczył więcej dla niego niż którykolwiek inny facet, z którym chciał być.

Romanse romansami, ale Gibbs czekał na ten moment, odkąd Ben sprowadził się do miasta dwa lata temu. Od tej pory las już nie był taki sam, tak samo jak Gibbs.

Gibbs wycofał się, skupiając swoją uwagę na wrażliwym czubku. Pompował u podstawy, przyspieszając swoje ruchy i czując kurczowo zaciskające się pięści Bena w swoich włosach. Przesunął rękę po piersi Bena, a potem zaczął dręczyć jego sutek między palcami.

Ben zadławił się od jęku. Jego biodra bryknęły do przodu, wpychając fiuta głębiej do ust Gibbsa.

- Oh, Boże, tak.

Gibbs ssał mocniej, zanurzając język w maleńkiej dziurce, potem wkładając erekcję Bena do ust aż po gardło. Przekręcił bezlitośnie sutek Bena.

Ben oszalał, pieprząc usta Gibbsa. Gibbs brał go z łatwością, otwierając usta i dmuchając na każde jego wycofanie się, a wciągając Bena głęboko na każde wśliźnięcie się po miękkim podniebieniu. Jego nos ocierał się o szorstkie włosy przy podstawie fiuta Bena. Pachniały nim, i kiedy mięśnie brzucha Bena zacisnęły się, usta Gibbsa jeszcze bardziej zwilgotniały wiedząc, że nadchodzi czas zapłaty.

Ben szarpnął niecierpliwie za jego włosy.

Gibbs przyssał się do niego, nie chcąc stracić ani kropli z wytrysku swojego kochanka.

- Dochodzę! Dochodzę – ostrzegł Ben ochryplym głosem.

Gibbs złapał pośladki Bena i przyciągnął, połykając go całego. Ben krzyknął, poruszając się szybko w ustach Gibbsa, rozlewając swoje gorąco w jego gardło. Gibbs zamruczał z przyjemności. Jego kutas cierpiał od podobnej potrzeby, ale zignorował to. Ben opróżnił się w Gibbsie. Dał mu wszystko, niezdolny do powstrzymania się w zapale dania siebie samego, by się zaspokoić.

Boże, to było coś wspaniałego, wiedzieć, że był tym jedynym, którego Ben pragnął. Po dwóch lata nie zauważania nikogo innego, odkąd Ben przyjechał, to właśnie Gibbs był tym, który wzbudził jego uwagę i zainteresowanie. Pieprzona gwiazda szczęścia wreszcie uśmiechnęła się do Gibbsa. Nie było mowy, żeby pozwolić Benowi odejść. Ben był jego.

Oczyścił Bena i wstał. Gibbs otarł kciukiem kącik swoich ust, by zetrzeć wilgoć zanim go pocałował. Tym razem, gdy zawładnął ustami Bena, próbował się nie spieszyć, ale obaj wciąż ciężko dyszeli, ich klatki piersiowe unosiły się w chciwej potrzebie złapania powietrza.

Obaj się roześmiali, co Gibbs uznał za ujmujące. Niezdarność będąca między nimi wydawała się sprawiać, że te chwile były bardzo specjalne. Ben rękami złapał za koszulę Gibbsa, by usunąć ją z drogi. Tak się spieszył, że oderwał guziki, co wywołało u Gibbsa prychnięcie prosto w ucho Bena.

- Ściągnij to. Ściągnij. Chcę dotykać cię wszędzie – nalegał Ben.

Koszula Gibbsa w końcu została rozpięta. Ben zrobił dobry użytek z tego faktu, przesuwał rękami po torsie Gibbsa, łaskocząc zebra, drażniąc skórę w miejscu, gdzie ramię Gibbsa łączyło się z jego ciałem. Gibbs nie mógł już szybciej odpiąć paska i spodni. Myślał, że chyba spłonie, a w chwili, gdy Ben zawinął swoje stwardniałe ręce wokół niego, niemal tak się stało.

- Cholera – przeklął Gibbs.

- Mam szorstkie ręce, przepraszam.

- Czuję się świetnie. Po prostu jestem gotowy dojść w twoich rękach – odparł Gibbs.

Ben poluźnił uścisk głaszcząc teraz kutasa Gibbsa.

Gibbs zawinął ramiona wokół Bena i ponownie do siebie przycisnął.

- Lubię twoje szorstkie ręce.

Ben chciał uklęknąć, ale Gibbs go powstrzymał.

- Dlaczego nie?

- Jestem zbyt blisko spełnienia – przyznał Gibbs. – Jeśli gdziekolwiek dotkniesz mnie ustami, wystrzelę ci prosto w twarz.

- A to byłyby złe, dlaczego?

Ben nie mógł powiedzieć tego w bardziej seksowny sposób. Gibbs złapał jego brodę i pocałował. Gdyby mógł wczłogać się w ponętne usta Bena, zrobiłby to. Dla niego nie było wystarczająco blisko tego faceta. Gibbs pożerał usta Bena, kodując jego smak w swojej pamięci.

Ręka Bena pocierała ciało Gibbsa. Jutro będzie czerwony i obolały, ale w tej chwili, nie dbał o to. W przyszłości, będą musieli użyć nawilżacza, kiedy Ben będzie go podniecał. Myśl o całej przyszłości z tym mężczyzną wywołała u Gibbsa uśmiech. Obietnica tego rozkwitła w jego umyśle, ścisnęła jego jądra i rozpałała mrowienie, które zatańczyło u podstawy jego kręgosłupa.

Ben złapał sutek Gibbsa i mocno przekręcił, ale nagle go puścił. Jego biodra pchnęły mimowolnie do przodu, ponieważ Ben wygiął nadgarstek w stronę

nieosłoniętego czubka kutasa Gibbsa. Iskry wybuchły za jego zamkniętymi powiekami, gdy sperma wytrysła smugami z jego fiuta i rozlała się w nocnym powietrzu.

- Koniec z tym. Chodź do mnie, Duncan – zamruczał ochryple Ben.

Oczy Gibbsa gwałtownie się otworzyły, chociaż szorstka od pracy ręka Bena wywołała wytrysk z obtartego kutasa Gibbsa. Oddech zadrżał w jego gardle, gdy okruchy rzeczywistości roztrzaskały się wokół niego.

Ben ukrył swoją twarz na szyi Gibbsa.

- Boże, Duncan, jesteś niesamowity. Nie mogę się doczekać, by zrobić to z tobą przy włączonych światłach.

Między nimi zapadła cisza, bo Gibbs walczył, by znaleźć odpowiednie słowa. Przez cały ten czas, kochał się z Benem całym sobą, każdym pocałunkiem, każdym dotknięciem, każdym odwzajemnionym z przyjemnością słowem. A teraz okazało się, że Ben kierował to wszystko do kogoś innego.

Ból przeszył jego pierś tak głęboko, że Gibbs cicho błagał noc, by go pochłonęła i zatrzymała to, co się działo. Zamiast tego, radosna muzyka uderzyła w jego spokój swoją drwiną.

- Mógłbyś się rozczarować – odparł Gibbs po dłuższej chwili.

Ben potarł teraz zwiotczałego kutasa Gibbsa, przykrył figlarnie dłonią jego jądra.

- Nigdy. Nie miałem pojęcia, że jesteś takim bezinteresownym kochankiem.

Gibbs pomyślał o wszystkich trójkątach, jakie przeżył z Duncanem i Charliem. Duncan był bezinteresowny, ale ten moment był czymś więcej niż tylko sprawianiem sobie przyjemności. Dał całego siebie.

Jednak Ben nie *jego* pragnął. Pragnął Duncana.

- Muszę iść – powiedział Gibbs, dławiąc się słowami.

- Zobaczymy się później?

- Tak. Kiedykolwiek – wymamrotał i potykając się zagłębił w las – gdzieś, gdzie bezpiecznie będzie mógł się zmienić i odlecieć z bólem z powodu straty mężczyzny, którego tak naprawdę nigdy nie będzie miał.

Rozdział 2

Trzy godziny później, Gibbs zamknął frontowe drzwi. Oparł się o nie, dziękując za chłodną bawełną koszuli. Jego ramiona, plecy i mięśnie brzucha wciąż paliły przyjemnie od lotu. Zazwyczaj latanie go odprężało. Dzisiejszy wieczór wydawał się być jednak wyjątkiem.

Zamknął oczy, myśląc o wszystkich możliwościach jego spotkania z Benem, jakie mogły się pojawić. O wszystkich możliwościach, jakie chciał, by się spełniły. Żadne z nich nie obejmowały Bena proszącego o wytrysk Duncana.

Nagle dotarł do niego dźwięk kochających się osób. Odepchnął się od drzwi, ściągnął koszulę i skopał buty ze stóp, zbliżając się do sypialni. Chociaż to nie była wina Duncana, że Ben chciał go pieprzyć, Gibbs nie był w życzliwym nastroju do dzielenia się.

Rozpiął dżinsy, gdy wszedł do słabo oświetlonego pokoju. Duncan siedział okrakiem na biodrach Charliego. Charlie masował uda Duncana. Zobaczył Gibbsa i uśmiechnął się szeroko.

- Hej, stary, szukaliśmy cię.

- Na pewno nie znajdziesz mnie w tyłku Duncana – odparł sucho Gibbs.

Duncan uśmiechnął się do niego nad ramieniem.

- Jeszcze nie, w każdym razie.

Gibbs nie przegapił faktu, że uśmiech Duncana mało przekonująco sięgnął do jego oczu. Wydawał się być zadowolony, że widzi Gibbsa, ale pewnie bardziej miał nadzieję na chwilę osobności z Charliem. Gibbs nie był zaskoczony. Chociaż tworzyli otwarty związek wśród swojej trójki, nic w ich ustaleniach nie wynikało z zastrzeżeniem. Wspólny seks był wspianały, tak długo jak każdy zgadzał się z tym pomysłem. Ale Gibbsowi wydawało się, że Duncan chyba chce trochę więcej od Charliego.

Charlie nie wydawał się o tym wiedzieć.

- Chodź tu – zachęcił Duncan.

Gibbs zatrzymał się podczas ściągania spodni.

- Jesteś pewny? Nie chcę się narzucić, jeśli coś tu się dzieje. – A to było kłamstwem. Chciał się narzucić. Więc dlaczego nie powinien? Czy Duncan nie popsuł wszystkiego Gibbsowi, kiedy Ben wydyszał imię Duncana?

Gibbs spuścił spodnie.

Duncan uniósł brwi.

- Potrzebujemy więcej nawilżacza.

Seks, wspaniały stabilizator. Seks, uspokojenie na zszargane nerwy. Seks, środek na sen. Dziś wieczorem, to będzie seks - wymaż pamięć. Skierował się do łazienki, chwycił tubkę nawilżacza i rzucił na łóżko.

- Obciągnąłem już Charliemu. Chcesz podwójnej przejażdżki, czy ma ci obciągnąć, kiedy wezmę jego tyłek? – zapytał Duncan.

- Hej, ja nie mam tu nic do powiedzenia? – wtrącił żartobliwie Charlie.

- Niespecjalnie – powiedział Gibbs.

Kochał tych facetów, a będąc w trójkę jedynymi zmiennymi gejami na tym terenie, ich związek działał świetnie, ale dziś wieczorem Gibbs chciał, by Ben pragnął jego. Ale dziś wieczorem Ben pragnął tylko Duncana.

Ból rozpalił się w gardle Gibbsa.

- Tyłek Duncana jest mój – warknął Gibbs.

Duncan rzucił mu prezerwatywę.

- W takim razie obsłuż się.

Gibbs złapał prezerwatywę w powietrzu i wpełzł na łóżko do swoich współlokatorów.

- Czekaliśmy na ciebie. Co tak długo wracałeś do domu? – zapytał Charlie.

- Jestem sową. Z natury – odparł Gibbs nasuwając prezerwatywę na swojego sztywnego kutasa i odrzucając nawilżacz na bok. – Jestem nocnym markiem.

Gibbs ustawił się za Duncanem, złapał jego biodra i pchnął. Duncan zesztyniał, sycząc przez zęby przekleństwo.

- Hej chłopie, lubię swoją dziurkę. Nie rozciągaj jej tak do diabła – warknął Duncan.

Brwi Gibbsa ściągnęły się razem. Odepchnął narastające wyrzuty sumienia, myśląc o zachwycie, jaki zobaczył na twarzy Bena, kiedy ten myślał, że to Duncan obciąga mu fiuta. To będzie obraz, który Gibbs zachowa w sobie. To będzie zapłata, jaką weźmie od Duncana.

To nie była wina Duncana, że Ben chciał jego. Duncan po prostu był takim facetem. Kobiety wilgotniały na jego widok. Mężczyźni chcieli obciągnąć jego penisa. Świadomość tego nie czyniła prawdy łatwiejszej.

Gibbs trzepnął Duncana w biodro, zachęcając go do ukłęknięcia. Duncan wykonał polecenie. Charlie wiercił się pod spodem, ustawiając się by wziąć penisa Duncana do ust. Ale to było coś więcej niż to. Powrót do starych sztuczek. Przyjaciele z korzyściami. Niech sobie tak myślą, a tymczasem Gibbs wyobrażał sobie, że pogrąży się w chętnym ciele Bena.

Gibbs wbił palce w kości biodrowe Duncana, świadomy, że następnego dnia pojawią się siniaki. Czasami seks wymagał szorstkości. Wszyscy robili to od czasu do czasu. Gibbs rzadko dochodził będąc zły. Dzisiaj jednak był jego dzień.

Wycofał się niemal w całości, a potem wbił się ponownie, mocno. Jego plecy wygięły się i odrzucił głowę do tyłu, wyobrażając sobie Bena tam w ciemnym lesie. Prawie mógł poczuć zapach zgniecionych igieł sosnowych i ciemnych soków. Mógł wyobrazić sobie leśne poszycie pod stopami i okrzyki pożądania będące połykane przez nocne dźwięki, kiedy Gibbs zatwierdzał Bena, jako swojego.

- Cholera, Gibbs, odpuść – warknął Charlie. – Dławię się penisem.

-Ssij – wydyszał Gibbs. – Płycej.

- Nie każ mu ssać płycej. To mój penis w jego ustach, a chcę, żeby go połknął – zażartował pogodnie Duncan.

- Szz – odparł Gibbs. – Zabijasz mój zapał.

- Przepraszam. Bierz go nadal. A ty, Duncan, spróbuj powstrzymać się od pieprzenia moich ust tak mocno. – Charlie zabrał się ponownie do pracy.

Gibbs słyszał dźwięki mlaskania ust Charliego obrabiającego Duncana. Duncan usztywnił się bardziej na ramionach, kiedy Gibbs brał go od tyłu. Gibbs sięgnął ręką i złapał jądra Duncana, nadal pieprząc jego tyłek.

Duncan jęczał z zachwytem.

- To jest to, Gibbs. Pieprz mnie mocniej. Już prawie dochodzę.

Gibbs poruszał swoimi biodrami. Ekstaza wzrastała szybko w jego udach i pachwinie. Zacisnął oczy, przywołując obraz rozdzielonych warg Bena pod swoimi. Zobaczył jeszcze raz ten moment, kiedy Ben doszedł, i z tym wspomnieniem, Gibbs wykrzyknął. Sperma wytrysnęła z niego, napęlniając prezerwatywę.

Gibbs się zatrzymał. Duncan sięgnął do tyłu jedną ręką, przytrzymując tyłek Gibbsa przy sobie, bo również on krzyknął głośno w spełnieniu.

- Cholera, tak – powiedział Duncan bez tchu. – Nie wiem, co cię napadło dziś wieczorem, Gibbs, ale podoba mi się jak przejmujesz kontrolę.

- Dzięki – wymamrotał Gibbs tonem winowajcy.

Charlie wysunął swoją głowę.

- Mów za siebie. Następnym razem Duncan może być na dole, gdy Gibbs przejmuje prowadzenie.

- Pieprz to. Jesteś tym pod spodem – kpił Duncan.

- Jestem wszechstronny. – Charlie wysunął się spod niego.

- Tak sobie wmawiaj. – Duncan się uśmiechnął. Upadał na plecy obok Charliego.

Gibbs ostrożnie ściągnął z siebie prezerwatywę. Zazwyczaj, popieściliby się jeszcze przez chwilę, by pobudzić się do jeszcze jednej rundy albo dwóch. Jednak dziś wieczorem, chciał być sam. Myślał, że wypieprzenie chłopaków oczyści jego umysł tak jak nie zrobiło tego latanie.

Ale się mylił. Wciąż pragnął Bena.

Rozdział 3

Rok później...

Charlie Cuelho rzucił okiem nad swoim ramieniem okrytym brązowym futrem. Jego uszy drgnęły, poruszając się w lekkiej bryzie, a jego nos stale węszył próbując znaleźć zapach Duncana na wietrze. Charlie miał czas, mnóstwo czasu, więc zatrzymał się, by potrzeć miękką łapą za swoim długim uchem i w dół do nosa. Praktycznie zadrżał na to robiące niesamowite odczucie, więc powtórzył swój ruch.

- Chcesz znowu przegrać. – Wielki puchacz siedział na pobliskiej gałęzi.

- Wszystko w porządku, Gibbs. Nigdzie go nie widać – odparł lekceważąco Charlie. Poza tym, mając zółwia lądowego za rywala, wygranie wyścigu było dokładnie tym, co chciał osiągnąć. Tylko nie chciał za bardzo przeginać. A fakt, że mógłby w kółko chwalić się tym osiągnięciem, nie zaszkodziłoby również. Nie było niczego bardziej seksownego niż wkurzony zmienny zółwia, który był ci winien przysługę.

Odkąd Charlie zdecydował, czym będzie ta przysługa, to tylko sprawiło, że ten moment będzie słodszy. Z pewnością Duncan nie będzie chciał robić wszystkiego, na przykład całować go, kiedykolwiek Charlie strzeli palcami. Przez cały miesiąc. *Tak, to będzie niesamowite.*

- To samo mówiłeś ostatnim razem, a on wygrał. Ty dwaj jesteście banalni – narzekał Gibson, odrywając Charliego od jego myśli.

- Pieprz się – warknął Charlie.

Stanął na swoich tylnych kończynach, próbując sprawić, by jego okrzyk brzmiał bardziej imponująco. Co było trudne, biorąc pod uwagę fakt, że był zającem i był zbyt puszysty by być imponującym.

- Masz na myśli, pieprz się jak króliczek? – Gibbs wydał dźwięk podobny do pociągnięcia nosem. Co nie było możliwe, technicznie, ponieważ nie miał nosa.. w postaci sowy. – Nie powinienem cię ostrzegać, ale przed tobą jest pułapka.

- Przeskoczę ją. – Poruszenie skupiło wzrok Charliego, a zapach zółwia doszedł do jego wrażliwego, zawsze poruszającego się nosa. – Wiesz, większość sów śpi w ciągu dnia. Nie zachowujesz się jak przekonujący zmienny w swojej postaci, skoro nie potrafisz zachować takich samych zwyczajów. – Czekał już wystarczająco długo. Głowa Duncana wysunęła się zza krzaka, wyciągając się by się lepiej rozejrzeć. – Muszę iść! – krzyknął Charlie do sowy.

- Czekaj! – zawołał Gibbs.

Charlie nie czekał. To był tylko wybieg, by go spowolnić na tyle, żeby zółw mógł wygrać wyścig. Każdego roku było to samo, obowiązki prania i zmywania przez sześć tygodni. Gdyby Duncan kiedykolwiek kazał mu zapłacić kreatywnie, Charlie mógłby stracić zainteresowanie. Śmierząca pralnia i zmywanie naczyń nie były kreatywne.

Omywanie Duncana przez sześć tygodni – swoim językiem – to byłoby gorące.

Charlie rzucił się do przodu, przeskakując przez liście i gałęzie. Jego biodra śmigały w powietrzu, składając swoje długie tylne łapy, zanim opadły, dotknęły ziemi i odepchnęły go, by biegł jeszcze szybciej.

Nie było mowy, żeby Duncan wygrał kolejny wyścig. Nie tym razem. Za żadną cholere. Obejrzał się, kiedy wykonał kolejny skok. Rozradowany, że nie widzi Duncana nigdzie obok siebie, pokicał radośnie dalej. Gałązki trzaskały pod jego stopami. Liście fruwały wkoło z każdym kolejnym skokiem do przodu. Ten wyścig miał...

Jego tylna łapa się rozciągnęła. Rozpęd skoku został nagle wstrzymany i Charlie szarpnął się nie rozumiejąc, co się stało, kiedy jego lewa łapa pozostała nieruchoma, nieważne jak mocno ją potrząsał.

W górze, krążył Gibbs, ogłaszając alarm. Powiedziałby, *A nie mówiłem*, ale obawiał się myśliwego, który mógł go usłyszeć.

Serce Charliego biło w szybkim rytmie staccato. Jego bystre oczy złapały niewielkie poruszenie zanim jeszcze usłyszał chrzęst butów. Charlie zamarł instynktownie. Skulił się, chcąc uczynić się tak małym jak to tylko możliwe, chociaż wiedział, że na to jest już za późno. Został zauważony i złapany w pułapkę, tak jak ostrzegał Gibbs.

Cholera!

- W porządku, malutki. Nikt cię nie skrzywdzi – dotarł do niego łagodny głos człowieka. Brzmiał hipnotycznie i uspokajająco. Głos, taki jak ten, mógł sprawić, że zapomniało się o tym, że właśnie zostałeś złapany i mogłeś skończyć, jako czyjś obiad.

Czy facet nie byłby zaskoczony, gdyby spróbował obdrzeć go ze skóry, a odkryłby za to nagiego mężczyznę? Charlie prawie uśmiechnął się ironicznie. Tyle, że on nie zrobił tego, ponieważ był w tej chwili z bardzo przerażony.

Charlie za późno zobaczył obrożę radiową. Szybko została zamknięta wokół jego szyi. Instynktownie, Charlie ugryzł człowieka, *mocno*.

- A! Cholera.

Znam ten głos.

Gibbs zanurkował bombardując mężczyznę.

- Co do cholery? – Przykrył głowę, ledwie unikając szponów Gibbsa. – Sowa? Poluje w ciągu dnia? O rany, lepiej zabiorę cię stąd, malutki. Sądzę, że mój przyjaciel chce cię na obiad. A teraz muszę cię zatrzymać, by sprawdzić czy nie masz wścieklizny.

Wścieklizny? Pieprz cię, facet. W końcu skupił się na twarzy mężczyzny i wyjątkowym zapachu, sosnowym i męskim. *Ben Landry?* O, teraz miał przerąbane. Poświęcenie Bena objawiało się w jego pracy. To jednak nie dawało Charliemu żadnych obietnic, że Ben się pomylił i pozwoli mu uciec.

Wnyki się rozluźniły, ale jak tylko Charlie spróbował się uwolnić, Ben złapał go za kark.

- Przepraszam, ale idziesz ze mną. Pozwoliłbym ci uciec, gdybyś mnie nie ugryzł.

Ben trzymał go wysoko, podczas gdy Charlie wyrzucił do przodu tylne nogi.

- Hej, uważaj – powiedział Ben, rozdrażniony.

Otworzył drzwi swojej ciężarówki i poszperał za siedzeniem kierowcy, zanim wyciągnął niewielką klatkę.

- Acha! Wiedziałem, że mam tu gdzieś jedną. – Wepchnął Charliego do środka. – Bezpieczny – oznajmił Ben.

Wręcz przeciwnie!

Panika zacisnęła zimną pięść na żołądku Charliego. *Uwięziony i oznakowany. Nie może być nic gorszego niż to.*

Klatka podniosła się i Charlie zapał się, by utrzymać równowagę. W krzakach, ciężki szelest ocierania się skorupy o ściółkę zapowiedział pojawienie się Duncana.

Teraz też przegram wyścig. A niech to cholera.

Gibbs krążył nisko.

- To był Ben Landry. Prawdopodobnie zabierze go do biura Departamentu Zasobów Naturalnych, ale Charlie go ugryzł, więc nie jestem pewny. Udam się na zwiad, by zobaczyć, gdzie jadą. Zmień się, a ja cię znajdę.

- A ubranie? – zaripostował Duncan. – Nie lubię go na tyle, by pchać się do cywilizacji nago.

- Mów tak sobie dalej – zahuczał Gibbs i odleciał.

- Nie cierpię, kiedy tak robisz? Masz pojęcie jak trudno żółwiowi spojrzeć w górę? – krzyknął za nim. Ostry krzyk był jedyną odpowiedzią dla Duncana.

Ben Landry?

Ben smakował jak poncz rumowy serwowany na festiwalu wiosennym rok temu. Ale był malutki fakt, że po tym jak Ben go pocałował, Duncan zostawił go samego w ciemności. Nie chodziło o to, że miał coś przeciw całowaniu Bena, ale podejrzewał, że Gibbs miałby coś przeciwko dzieleniu się nim.

Duncan wciąż czuł smak miękkich ust Bena, co sprawiło, że trzymał się z daleka. Po tym jak zobaczył, że Gibbs ruszył za Benem do lasu, na festiwalu, Duncan był pewny, że się spotykają. Nic takiego nie zaistniało, ale Duncan nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że mogło.

Kawał czasu minęło, odkąd Gibbs interesował się jakiś szczególnym facetem. Sposób, w jaki Gibbs patrzył na Bena, ukazywał dość tęsknoty za cikliwą love story i możliwością innego gracza do trójki. Tamtej nocy, Ben odszukał Duncana i go pocałował. Normalnie, Duncan wszedłby w to, tyle że nie chciał widzieć zranionego oblicza Gibbsa, gdyby mu o tym powiedział. Więc, Duncan odpuścił. Trzymał się z dala i odetchnął z ulgą, gdy zobaczył jak Gibbs podążył za Benem w ciemność nocy.

Duncan byłby zainteresowany romansem, ale Gibbs nie był tego rodzaju facetem, który z kimś by się wałęsał. Zasłużył na szansę, by sprawdzić czy to, co czuł było

prawdziwe. I Duncan nigdy nie powiedział Gibbsowi o pocałunku, tak na wszelki wypadek.

Ale to nie zadziało. Gibbs, po tej nocy, zrezygnował z prób wynajdowania powodów, by wybrać się do miasta.

Duncan przypuszczał, że mógłby teraz starać się o Bena, ale poza seksem, tak naprawdę nie chciał wchodzić z nim w żadne związki. Duncan był bardziej zainteresowany tym, czy Charliego będzie mógł przekonać do czegoś więcej niż ich obecny status przyjaźni z korzyściami.

Co wyjaśnia, dlaczego zgadzam się co roku gonić ogona. A bez ogona, Charlie był wspaniały. Najlepszy. Niestety, wiedział o tym, co znaczyło, że Duncan nie chciał mówić mu jak jest seksowny.

Westchnął, zamknął swój pysk z trzaśnięciem i wyciągnął szyję. Z wielkim wysiłkiem, Duncan ustawił dwie ukośne stopy i zakołysał dwoma pozostałymi, dopóki nie znalazły punktu oparcia. Mięśnie wzdłuż jego klatki piersiowej i brzucha, ukryte głęboko w środku solidnej skorupy, naciągnęły się. Przed nim było niskie wzgórze. Pagórek tak naprawdę. A niech to szlag. Zatrzymał się, by rozważyć inną trasę.

- Pieprzyć to – powiedział, godząc się ze wspinaczką. Powęszył ziemię i ruszył noga za nogą do przodu w kierunku samochodu, który zabrał Charliego.

Wróc kiedy chcesz, Gibbs. Kiedy chcesz.

Duncan zebrał swoją siłę, siłę, którą zarezerwował na ostatni etapu wyścigu, dopóki Ben nie zabrał Charliego i zaczął szybko dreptać jak tylko przebył wzgórek. Zarośla były gęste, ciągnęły się po jego skorupie. Na szczęście, skoro musiał taszczyć swój brzuch i stąpać po ostrych gałązkach, przynajmniej został tak zbudowany, żeby za bardzo tego nie odczuwać.

Gdy doszedł do mostu, przeciął mały staw, i wtedy Duncan się rozpogodził. Odepchnął się od brzegu, wkładając swoje grube, niczym pień, nogi do środka skorupy. Wystawał tylko jego nos, kiedy zjeżdżał po brzuchu z błotnistej stoku i z pluskiem wpadł w mroczne głębokości.

Teraz zobaczymy!

Duncan lekko wiosłował. To było najlepsze z bycia żółwiem i najlepsze w wyścigu z Charliem. Charlie nie cierpiał wody, niemal tak samo jak Duncan nie cierpiał pełzania

pod zwalonymi drzewami. To była jednak sprawiedliwość rzeczy. Podejrzał również, że Charlie by oszukiwał przekraczając most.

Duncan zanurzył się w odmęty, sunąc przez mroczną wodę. Ryba przepłynęła wystarczająco blisko, aby go skusić, ale oparł się temu pragnieniu. Dno stawu stało się płytsze. Roślinność ocierała się o jego skorupę w ciszy wody, dopóki w końcu się nie wynurzył.

Dotarł do solidnego gruntu na drugim brzegu i wypchnął się wszystkim siłami, by wspiąć się na nasyp. Nic nadzwyczajnego, czego nie robiłby żółw, by wydostać się na brzeg po energicznym pływaniu.

Gibbs zagwizdał.

- Tak? – odparł Duncan.

- Znalazłem ich. Polecę tam, gdzie schowaliśmy nasze ubranie. Przyniosę ci twoje z powrotem.

- Ekstra – burknął Duncan. Wysunął swoją głowę tak daleko jak mógł, próbując zdobyć równowagę, kiedy jego kłocowate przednie nogi wysiliły się, by podciągnąć jego tyłek w górę pochyłości. Sapnął. – Gdzie go zabrał?

- Na ziemię niczyją.

Duncan zatrzymał się, obrócił głowę na bok, by zerknąć na Gibbsa, który raczej działał mu na nerwy niż uspokajał. Duncan westchnął.

- Tylko Charliemu mogło się przydarzyć, by zostać złapanym i uwięzionym w oddziale więziennym Departamentu.

Gibbs zachichotał z trudem.

- Widziałem jak Ben zakładał mu obrożę radiową. Gdyby go nie ugryzł, w tej chwili pomagalibyśmy już Charliemu pozbyć się tej obroży.

- Myślisz, że Ben będzie go trzymał?

- Zniósł go do innego pokoju. Nie mogłem zajrzeć do środka z gałęzi, na której siedziałem, ale wyglądało to na klatkę.

Duncan prychnął. Zrobił kolejne długie podciągnięcie pod górę, dopóki się tam nie znalazł.

- Dobrze mu zrobi, jeśli facet wbije mu kilka strzykawek w tyłek. Nie będzie mógł skakać przynajmniej przez tydzień. – Zachichotał mocniej na myśl, która zakwitła w jego umyśle, na pełne testowanie i inne rzeczy, które Duncan chciałby zobaczyć w tyłku Charliego. Na przykład penisa Duncana. – Tak, chciałbym to zobaczyć. Bezcelny łajdak zasługuje na trochę pokory.

Gibbs zamachał swoimi skrzydłami.

- Wrócę za kilka minut. Odpocznij. To nie może być łatwe nosić swój dom na swoich plecach.

- To nie jest tak, jakbym miał tu centrum rozrywki, Gibbs!

Ale Gibbs już odleciał.

Gibbs wysunął swoje szpony i złapał gałąź drzewa. Ułożył skrzydła przy ciele i ostrożnie rozejrzał się wkoło. We wszystkie strony. Pióra uniosły się lekko i na jego głowie pojawiły się wielkie pierzaste uszy poruszające się lekko pod dotknięciem wiatru.

Wpatrując się czujnie, przeskanował cały teren. Pojedyncze liście, błyszczące i zielone na jednej stronie, przewracały się i przekręcały ukazując nowe pąki i odnogi. Nie było zbyt wiele miejsca do ukrycia się o tej porze roku. Wiosna właśnie się zaczynała. Niedługo gałęzie będą pełne kryjówek.

Kwestionował sensowność organizowania dorocznego wyścig na wiosnę, ponieważ drapieżniki czatowały na długo wyczekiwany posiłek. Ale Charlie nalegał. W jedyny sposób, w jaki Charlie potrafił nękać, co rozwścieczało Duncana tak, że ten w końcu się godził. Charlie miał dar przekonywania. Trudno było mu się oprzeć, a jeszcze trudniej zachować zdrowy rozsądek. Tak naprawdę, większość kłopotów, w jakie ich trójka się pakowała, było z winy Charliego. Wyglądało na to, że dzisiejszy dzień nie będzie inny.

Drzewa wciąż pozostawały ciche. Gibbs otworzył skrzydła i spłynął na ziemię, obok worka ukrytego między gładem, a krzakiem. To było niebezpieczne miejsce dla ptaka, pomimo środków ostrożności, jakie podjął. Drapieżniki były bardzo dobre w polowaniu. Gibbs zaczął natychmiast się zmieniać.

Skóra swędziała, gdy pióra się wchłaniały, ból towarzyszył przemianie dzioba w bardziej miękką tkankę. Gibbs przyrównywał to do wpadania nosem na ścianę. Sam ból zatok wystarczył, by całkowicie spowodować drętwienie w reszcie jego ciała, kiedy kość się wypełniała, mięśnie zmieniały.

Skrecony do pozycji embrionalnej, Gibbs wziął kilka głębokich wdechów. Dał swojemu ciału czas, by przyzwyczało się do nowej postaci, poczuło się skończone, zanim się ruszy. Jak tylko się trochę rozluźnił, ubrał się czując ból w swoich drżących ramionach i nogach. Zastanawiał się czasami, czy Duncan i Charlie czuli ból w tych samych miejscach, i zdecydował, że zapyta ich któregoś dnia. Teraz jednak, chciał włożyć ubranie i okulary.

Minuty później, skończył wiązać swoje buty i dźwignął worek na szerokie ramię. Gibbs pobiegł w kierunku stawu. Zajął mu to dwa razy tyle czasu, jakby leciał, ale przecież ludzkie nogi nie były zbyt ekonomicznym transportem.

- Najwyższy czas – warknął Duncan.

Gibbs rzucił worek.

- Hej, nie tak łatwo przejść z latania na bieganie.

Duncan spojrzał na niego złowrogo.

- Naprawdę? Tak, jakbym nie wiedział, jak trudną rzeczą jest zmiana kształtu. Mam absolutną pewność, że zrozumie to, gdy wyjaśnisz to mi któregoś dnia.

Gibbs włożył okulary na nos, nie zawracając sobie głowy komentarzem. Usiadł krzyżując nogi i czekał na Duncana, by stał się człowiekiem.

Duncan wsunął wszystkie swoje kończyny do środka skorupy. Jego oczy się zamknęły, a on zachwiał się na jakiś niewidocznym występie na swoim brzuchu. Gibbs lubił tę część. Bardzo. Duncan, nagi i wrażliwy, był czymś wartym zobaczenia.

Dzisiaj, kiedy Ben pojawił się w jego głowie, spróbował dostrzec podobieństwa w nagim ciele Duncana i swojego. Za dnia, w ogóle nie byli do siebie podobni. A po ciemku? No cóż, Gibbs nie bardzo mógł zrozumieć, jak Ben mógł ich pomylić i dlaczego natychmiast przypuścił, że to Duncan go złapał, a nie Gibbs, kiedy to Gibbs zaskoczył go w lesie.

Duncan nigdy nie wspominał o spotykaniu się z tym mężczyzną, ale Ben wydawał się być całkowicie pewny w swoim przypuszczeniu, że to był Duncan. I nic przez ten miniony rok nie sugerowało, że Duncan chciał spotkać się sam na sam z Benem. Więc dlaczego Ben myślał, że on był Duncanem?

Podczas tych nocy, kiedy to Gibbs latał do chaty Bena, siadał na poręczy ganku, Ben wydawał się być ufny. Tym, co pojawiała się na twarzy Bena, był jego niepokój

tym, że Duncan nigdy się nie pojawi. To dało mu do myślenia, że coś było między nimi. A jednak, nie było. Gdzie był brakujący kawałek?

Zaokrąglony grzbiet Duncana zdrzął od siły zmiany. Brązowo-zielona skorupa przemieniła się w kolor skóry. Twarde geometryczne wzory stały się wybrzuszeniami i dolinami solidnych mięśni i gładkich kości precyzyjnie wyrzeźbionych pleców, rozwijających się z kręgosłupa.

Rozłożył ramiona, wspierając swój ludzki ciężar, po którym zakręcone był jego ręce. Jego zgięte palce się otworzyły i wbiły w zeschnięte liście i ciemną żyzną glebę. Szczątkowy ogon wchłonał się i zmieniał się tak długo, dopóki nie ukazały się twarde linie doskonale zaokrąglonych pośladków, przedzielonych pośrodku, i długie mocno umięśnione uda wyciągające się do odpowiedniej długości. Pazury rozciągnęły się w blade stopy.

Przez cały ten czas, Duncan miał mocno zamknięte usta, dysząc przez zaciśnięte zęby i rozszerzone nozdrza. Zawsze powstrzymywał się przed wydawaniem dźwięków bólu do minimum, co jak się wydawało czyniło go silniejszym i bardziej męskim. Chociaż nie potrzebował pomocy, by wyglądać bardziej męsko.

Gdy było już po wszystkim, zwiesił głowę, łapiąc oddech, podobnie jak Gibbs. Tylko, że kiedy Gibbs się zmieniał, nie wyglądał ani trochę tak imponująco. Widocznie było coś w budowie fizycznej zmiennych żółwi, co sprawiało, że stawali się takimi ludźmi. Gibbs doszedł do wniosku, że to było efektem ciężkiego ciągnięcia i niezgrabnych zdolności poruszania się na suchym lądzie. Musiałeś być bardzo silnym, by zachować lokomocję, kiedy nie byłeś zaprojektowany po to, by nieść swoją pełną masę ciała przez długi okres czasu.

I ze względu na to, był niemal pewny, że to był powód, dla którego Charlie lubił wyzywać go do wyścigu, co roku. Z całej ich trójki, Duncan był najsilniejszy w ludzkiej postaci. Ten wyścig dawał Charliemu szansę odrobić ten fakt.

Gibbs przyjrzał się krytycznie ciału Duncana. Oprócz tego, że mieli prawie taki sam wzrost i budowę ciała, Gibbs miał pewność, że można ich było rozróżnić w ciemności. Gibbs nie był cherlakiem. Miał wysportowaną sylwetkę, ale jego ciało inaczej rozłożyło siłę zmiennego. Duncan miał szeroki, mocny tors. Gibbs posiadał szerokie, wyrzeźbione ramiona.

Ale przecież, to nie było tak, że Gibbs i Duncan regularnie podtrzymywali kontakty z Benem. Ben był z Departamentu Zasobów Naturalnych. To byłoby niczym igranie z

losem, to ciągle kręcenie się wokół niego i spodziewanie się, że nie zostanie się rozszyfrowanym.

- Jak się czujesz? – zapytał Gibbs, ciągnąc torbę i stawiając ją koło głowy Duncana.

- Jakby ktoś zdarł ze mnie moją skorupę, a każda kość w moim ciele została połamana na maleńkie kawałki. Oh, czekaj, to się stało.

Duncan podniósł głowę, jego jasnozielone oczy przyszpiliły Gibbsa sardonicznym spojrzeniem i wykręconym uśmiechem cierpliwego, wszystkowiedzącego żółwia. Jego jasnobrązowe włosy opadły mu na oczy, zamiast zwykłego uporządkowanego stanu.

To była kolejna rzecz, jaką Ben powinien zauważyć. Duncan używał żelu do włosów, Gibbs nie. Tamtej nocy, Ben wspomniiał coś o ich miękkości.

Gibbs westchnął. Dobrze robił przylatując na nocne wizyty do Bena. Aż do teraz, Ben, urzędnik Departamentu, nie skrzyżował swoich dróg z innymi w ich zmienionej postaci. Okej, oprócz nieformalnych wizyt Gibbsa.

Gibbs sięgnął do worka wyjmując dwulitrową butelkę wody i ręcznik. Duncan nie lubił brudu, co Gibbs zawsze uważał za zabawne, ponieważ kiedy był w swojej drugiej postaci wyglądał na szczęśliwego, gdy ślizgał się po brzuchu.

- Dzięki – powiedział Duncan, biorąc butelkę z wyciągniętej ręki Gibbsa.

Wstał, łapiąc równowagę. Potem trzymając butelkę nad głową, wylał wodę na siebie, spłukując brud, który przywarł do niego podczas zmiany.

Gibbs usłyszał swoje radosne westchnienie i podał ręcznik.

- Podziwiesz widoki? – drażnił się Duncan. Wrzucił pustą butelkę do worka i wziął ręcznik.

Gibbs nawet nie odpowiedział. Zamiast tego wstał, otrzepał spodnie i wyciągnął ubranie Duncana z worka. Im prędzej dostaną się do Charliego, tym lepiej. Obejrzał się z kierunku, skąd przyleciał. Gdyby pobiegli, dostaliby się tam za pół godziny.

Duncan wziął od niego ubranie. Gibbs nie patrzył jak się ubierał. Jego umysł już był skupiony na zadaniu i na tym, jak przekonać Bena, by wypuścił Charliego.

- Zatem chodźmy uratować skórę Charliego – powiedział Duncan, przerywając ciszę.

Rozdział 4

Charlie wtulił się w tylny róg klatki. Ben ostrożnie postawił ją na stole weterynaryjnym. Charlie wiedział, że to jest stół u weterynarza, ponieważ miał kota. Ironią było to, że zajac był właścicielem kota. Teraz myśl o kulkach włosowych nabrała nowego znaczenia i nie było miejsca na wywyższanie się. Chociaż myślenie o tym teraz, było trochę do bani, kiedy zmienił się w swoje alter ego zajaca.

Ale w tej chwili, przeklął swój Zespół Zaburzeń Uwagi, który rozproszył go ważną rzeczą. Mianowicie, Ben sięgnął do zasuwki klatki.

- Ustawmy teraz tę obrozę, kiedy żaden drapieżnik na ciebie nie czyha – zasugerował Ben.

Zła propozycja. Obroza poważnie komplikowała sprawy - oh, powiedzmy wprost, w zmianie.

Charlie skulił się w kącie i warknął.

O, tak, zgadza się, sukinsynu, zajace też warczą!

- Szzz, wszystko w porządku. Jesteś bezpieczny. Sowa tutaj nie przyleci, żeby zrobić sobie z ciebie przekąskę. Włożę tylko moją rękę do środka i... Ałć! – Ben wyszarpnął rękę, potrząsając nią gwałtownie.

Ekstra!

- Cholera. Nie mogę uwierzyć, że znowu mnie ugryzłeś.

Ben zamknął klatkę i podbiegł do zlewu. Trzymał rękę pod wodą kilka minut, zanim wytarł rany i zabandażował swój kciuk. Ben obrócił się, opierając biodrem o blat koło zlewu i zamyślił się nad Charliem.

Charlie opuścił swoje uszy. Przekrzywił głowę, obserwując Bena jednym szeroko otwartym okiem. Jego nos drgał nerwowo i pomimo faktu, że czuł swędzenie na karku, Charlie odmówił sobie podrapania się tam, zrobieniem czegokolwiek, co rozproszyłoby go od jego obecnego zagrożenia. Zagrożenia mającego coś koło metra osiemdziesięciu,

opadające ciemnoblond włosy i duże brązowe oczy, jak u szczeniaka, w których obecnie widniał rozgoryczony uśmiech.

- Powiniennem to wiedzieć – westchnął Ben i opuścił głowę do przodu zde gustowany sam sobą. – Pieprzona papierkowa robota – wymamrotał. – Ale nie myśl sobie, że zapomnę ustawić twoją obrozę.

Zrezygnowany, Ben pociągnął szufladę i zaczął szperać w papierach. Zamknął ją, wysunął następną, a potem jeszcze dwie. Ben zgiął się nad blatem i zaczął coś pisać.

Nawet w postaci zająca, Charlie potrafił docenić świetny tyłek. Mundur khaki Departamentu opinał się mocno na jego pośladkach.

Świetny tyłek. Prawie tak świetny jak Duncana.

Ben spojrzał przez ramię.

- Nie masz wścieklizny, prawda? Ponieważ zastrzyki są diabelnie bolesne. – Potarł ręką swoje czoło, a potem wrócił do dokumentów. – Muszę zatrzymać cię na obserwację na jakiś czas. Zamierzałem cię puścić, zanim mnie ugryzłeś – mamrotał.

Charliemu podobało się, że Ben rozmawia ze zwierzętami. Nie miał pojęcia, że Charlie go rozumie, ale uspokajający ton i łagodne ruchy były bardzo uspokajające. Tyle, że to, czego Charlie teraz potrzebował, to nie był spokój, tylko ruszenie tyłka i szalony plan ucieczki.

To wyjątkowe uczucie strachu pojawiło się, gdy nie tyle spieprzył, co spieprzył tak źle, że problem stał się jeszcze gorszy niż był, skręcając nieprzyjemnie jego żołądek. Gdyby wiedział, że ugryzienie oznacza uwięzienie, powstrzymałby się. Ale skąd do diabła miał to wiedzieć? Wszystko, czego chciał od Bena to, żeby go uwolnił. Gryzienie było bodźcem do wypuszczenia go. Najwidoczniej, Ben nie znał zwierzęcego języka.

Jak długo potrwa ten jakiś czas?

Nie mógł się doczekać, by zapytać o to głośno, ale podejrzewał, że to nie da pożądanego efektów, by go uwolnić. Bardziej prawdopodobne było to, że zatrzyma go w klatce. To dlatego żaden z nich nie używał słów. Charlie mógł zostać uwięzionym, ale nie był głupi.

Sierść uniosła mu się na karku. Ile czasu będzie go trzymał, by sprawdzić czy ma wściekliznę, której z pewnością nie miał? I do diabła jak się zmieni z ciasną obrozą wokół swojej szyi, nie wspominając o drucianej klatce? Charlie sądził, że z łatwością poradzi sobie z tą zasuwką, ale to była jedyna rzecz, którą mógł zrobić bez palców.

I tak jakby zadał to pytanie głośno, Ben odpowiedział.

- Będę musiał zatrzymać cię tu na następne dziesięć dni, żeby upewnić się, że jesteś czysty. Prawdopodobnie i tak ją masz – uśmiechnął się do Charliego, jakby chciał dodać mu otuchy. – Większość królików i zajęcy nie są jej nosicielami. Przepraszam malutki. Wygląda na to, że przez chwilę będziesz gościem Departamentu Zasobów Naturalnych stanu Michigan.

Panika zatrzymała jego wiecznie drgający nos. *Dziesięć dni?* Nie mogę być zamknięty przez dziesięć pieprzonych dni. Pełnia, Pełnia Zająca, była już jutro. Gdyby był człowiekiem, w tej chwili zbladłby. Zostanie złapanym nigdy nie było dobre. Ale zostanie złapanym podczas pełni było katastrofalne. Zostanie uwięziony w swojej zmienionej postaci już na zawsze, niezdolny do stania się ponownie człowiekiem. Jak na ironię, ten miesiąc był miesiącem Pełni Zająca. Chore zrzączenie losu, czy jakiś zwiastun?

Charlie podskoczył w ciasnej przestrzeni klatki. Walnął w okratowaną górę, obił się o boki, popychając niebezpiecznie klatkę coraz bliżej i bliżej do krawędzi.

- Hej! Hej, uspokój się. – Ben rzucił się przez pokój, kładąc rękę na wierzchu klatki zanim cała metalowa pułapka rozbiłaby się na podłodze.

Hałas zabrzączał w uszach Charliego, wraz z okrzykiem i jaskrawym światelkiem. A to było po to, by go rozproszyć. Nie spodziewał się nagłego ostrego ukłucia i następującym po nim ciepłym odrętwieniu. Charlie zamrugał w osłupieniu, gdy Ben cofnął swoją rękę, trzymającą strzykawkę, przez otwarte drzwiczki klatki. Charlie zmuszał swoje kończyny do poruszenia się, ale one nie reagowały.

Mam przejebane.

Ben potrząsnął głową, kompletnie zdenerwowany, że tak bardzo dał się nabrać. Zaciśnął zęby, wypełniając raport z ugryzienia, kiedy zobaczył jak Duncan Mallory i Gibson Oliphant przecinają parking Departamentu.

Szczęka Bena napięta się na widok lekkiego uśmiechu Duncana. Uśmiech, który mógłby zostać odebrany, jako zadowolony z siebie. Zwłaszcza, jeśli Duncan miał coś na ciebie, jak na przykład fakt, że jesteś gejem i nie możesz trzymać języka za zębami.

Albo fakt przyznania się, że go pragniesz, który podniecił go mocno w ciemności, po tym jak wspaniale ci obciągnął fiuta, co nigdy nie zdarzyło się ponownie.

Ben wciąż to sobie wypominał. Niezbyt często wybierał się do miasta, ale Festiwal Wiosny wydawał się być najlepszym czasem na spotkanie się z ludźmi i zabicia z kimś swojej samotności, ponieważ pracował sam pośrodku pustkowia stanu Michigan. Pijąc poncz popełnił drugi błąd. Ben nie wypił tego dużo, tyle tylko by nabrał odwagi do zrobienia czegoś, czego nigdy nie śmiałyby zrobić.

Pocałowania Duncana.

A Duncan tam był. Więc co zrobił Ben? Wciągnął Duncana w pocałunek. Pozałował tego prawie natychmiast i dalej żałował, dopóki Duncan nie złapał go samego w lesie.

Ale następny pocałunek już się różnił. Ten pocałunek emanował zaangażowaniem i zainteresowaniem, jego ręce były wszędzie, a usta – Boże, jego usta obciągnęły fiuta Bena. Chciał powtórki tej nocy, wyobrażał sobie to tyle razy, podniecając się, gdy był sam w swojej chacie.

Jednak od tamtej pory Duncan był tylko przyjazny. I tu był problem. *Nic* więcej tylko przyjazny.

Ben próbował odzyskać opanowanie, ale jego ręka drżała, gdy wypełniał papiery. Z tego, co wiedział, Duncan nie powiedział o tym nikomu. Co jednak nie znaczyło, że tego nie zrobił.

- Zamknięte – powiedział Ben, kiedy mężczyźni weszli do biura.

- Jeszcze nie, bo jesteś – odparował Duncan. – Masz... – Duncan wymienił spojrzenia z Gibbem, który stał nieruchomo. Pełne wargi Duncana wygięły się w uśmiechu. – Mojego ulubieńca.

- Na pewno nie mam. W tej chwili mam tylko jedno zwierzę na miejscu i nie jest egzotyczny.

- Przyniosłeś go dziś wieczorem. To jest zajac... taki duży – powiedział Gibbs, rozciągając ręce na jakieś trzydzieści centymetrów. – Długie uszy, duże stopy.

Ben założył ramiona na piersi.

- To zwierzę domowe? – zapytał sam słysząc niedowierzanie w swoim głosie.

- Tak – odparł Duncan.

- Zapomniałem na moment, że posiadanie egzotycznego zwierzęcia jest nielegalne w Michigan, ale muszę zatrzymać go na kwarantannę. Ugryzł mnie – oznajmił Ben.

- Nawet zając ugryzie, jeśli dotkniesz go niestosownie – drażnił się Duncan.

- Nie dotknąłem go... zresztą mniejsza o to. Co robisz z zającem? – zapytał Ben, puszczając kpinę mimo uszu.

Duncan wzruszył ramionami.

- Rośnie sobie.

- Zastanawiałem się, co tu robi zając tak daleko na północ. To dlatego założyłem mu obrozę. Ale nadal on mnie ugryzł. Muszę potrzymać go przez dziesięć dni. Kiedy skończę, wypuszczę go na wolność. Pamiętasz, że nielegalnie jest trzymać egzotyczne zwierzęta?

Duncan się spał.

Gibbs rzucił z niepokojem okiem na drzwi przychodni.

- Nie możesz tego zrobić! Potrzebujemy go w domu. Do... – Gibbs wydawał się szukać jakiejś wymówki. – Do skakania i wączania różnych rzeczy.

Duncan obrócił głowę i spojrzał żałośnie na Gibbsa.

Ben uśmiechnął się kpiąco.

- Pomijając mętne wymówki, nie miał na sobie obroży i jeśli nie możesz przedstawić świadectwa szczepienia na wściekliznę i udowodnić, że masz legalne pozwolenie na jego posiadanie, zostanie tutaj.

Gibbs rozłożył szeroko ręce, lekko wzruszając ramionami, gdy jego nos zmarszczył się zachwycająco.

- Możemy przynajmniej go zobaczyć?

Ben zmierzył ich obu spojrzeniem.

- Obiecacie, że niczego nie będziecie próbować.

Spojrzenie Duncana przesunęło się po nim powoli. Gdy ponownie spotkał Bena, w jego oczach zatliło się zainteresowanie.

- Z tobą, czy z zającem?

Ben się zarumienił. To był pierwszy raz, kiedy Duncan okazał odrobinę zainteresowania od czasu tej nocy, i zrobił to przed świadkiem.

- Przykro mi. Nie mogę pozwolić ci tam wejść. Albo pokażesz świadectwo szczepienia, albo poczekaś dziesięć dni. W tym czasie, weź formularz zgłoszenia z tej półki i wypełnij go. Będziesz musiał ponownie złożyć wniosek na posiadanie. – Ben walczył z rzeczowym tonem. Zignorował fakt, że palec, którym wskazał półkę, drżał tak samo mocno jak jego pismo, kiedy spostrzegł ich na zewnątrz.

Duncan wziął wniosek i długopis. Zajmując miejsce przy ladzie recepcji, zaczął wypełniać papiery. Gibbs wyglądał na zaniepokojonego, bowiem chodził od Duncana do drzwi przychodni. Rozglądając się.

- Nie zobaczysz go w ten sposób. Jest na końcu korytarza – oznajmił Ben.

Gibbs spojrzał na Bena, ściągając brwi. Gibbs popchnął okulary na nosie swoim długim, szczupłym palcem. Ben zerknął na swój raport, próbując zrozumieć dziwne mrowienie, jakie przebiegało po nim wywołane każdym poruszeniem Gibbsa.

To była zwyczajna rzecz, popchnięcie okularów. Ben złożył to na karb nerwów. Bycie w tym samym pokoju z Duncanem, po tym razie, kiedy się ostatnio widzieli, wystarczyło, by zamącić w głowie każdemu. Ten facet był greckim bogiem, doskonale zbudowanym, wspaniale beztroskim i pewnym siebie. Duncan prawdopodobnie wywoływał ten efekt na wielu ludziach.

A Gibbs... ku zaskoczeniu... Ben zdał sobie sprawę, że Gibbs też ma świetną budowę ciała. Nigdy nie zwracał na niego zbyt dużej uwagi. Szczupły i trochę zuchwały, miał giętką seksowną aparycję i osobowość. Chociaż miał szerokie dłonie, jego palce były delikatne i długie. Jego nadgarstki były grube, a ramiona wyglądały na dobrze umięśnione i gładkie. Jego bawełniana koszulka okrywała szerokie barki i opinała się na wysklepionej piersi.

Hmm.

Ben zmierzył go jeszcze raz, łapiąc Gibbsa na kolejnym ukradkowym ruchu popchnięcia palcem swoich okularów. Gibbs zwrócił oczy w stronę Bena. Długie czarne rzęsy nad oczami koloru whisky rozszerzyły się zanim uciekły w bok.

Podwójne hmm.

Benowi wydawało się, że zobaczył rumieniec na policzkach Gibbsa, ale ten zbyt szybko się odwrócił, żeby Ben miał pewność. Ale jeszcze dziwniejsze było to szalone

trzepotanie, kiedy Ben spojrzał w te żółto-brązowe oczy. Niepokojące, delikatnie mówiąc.

Ben zwrócił swoją uwagę na Duncana, który w ciszy wypełnił wniosek i mu podał. Gdy ich oczy się spotkały, nie było żadnego uczucia unoszenia się żołądka, jakiego doświadczał patrząc na Gibbsa, chociaż to Duncan był bardziej w typie Bena. Nieprawdaż?

Ben potrząsnął głową i wziął papier od Duncana.

- Dzięki. Złożę go i zadzwonię za dziesięć dni. Chyba, że masz to zaświadczenie o szczepieniu i pozwolenie.

- Nie mamy – odpowiedział Duncan za nich obu.

- W takim razie oddam go jak tylko minie dziesięć dni, a wtedy będzie miał bieżące szczepienia.

- Ale zdejmiesz mu tę obrozę radiową? – zapytał Gibbs z niepokojem.

Ben założył ramiona na piersi, próbując wyglądać imponująco i mając nadzieję stłumić mieszane uczucia, które czuł, gdy rozmawiał z Gibbssem.

- Nie.

- Co? – niemal wykrzyknął Duncan.

- Nie oddam żadnego zwierzęcia komuś, kto twierdzi, że jest jego właścicielem. Będziesz musiał przedstawić dowód. Jeśli nie, to dowiedzie mi jednej z dwóch rzeczy. Albo, że jesteś jego właścicielem, ale nieodpowiednio dbasz o jego potrzeby. Albo, że nie jesteś właścicielem, a on musi wrócić do swojego naturalnego środowiska – zakończył Ben.

- Co, jak właśnie przyznałeś, nie jest w Michigan – odparł ostro Duncan.

- I właśnie dlatego założyłem mu obrozę. Tropienie niezwykłych zachowań zwierząt jest ważną częścią pracy Departamentu, Duncan. Nie można tego obejść, tylko przestrzegać procedur. – Ben wzruszył ramionami. – To wszystko w tej sprawie.

- A co jeśli nie wiemy, gdzie są nasze dane? – zapytał Gibbs.

- Twój weterynarz powinien mieć kopię szczepienia. Urząd kopię twojego pozwolenia – wyjaśnił Ben.

Duncan burknął smutno, posyłając mu spojrzenie.

- Proszę – naciskał Gibbs. – On musi być wystraszony. Czy mogę go, choć trochę, uspokoić?

Ben zmiękł.

- Mógłbym pozwolić ci to zrobić, ale biorąc pod uwagę twoje nalegania i kompletny brak dowodu, nie mogę. Przykro mi.

Gibbs kiwnął głową.

- Chodźmy, Duncan. Po prostu musimy czekać.

- Jak diabli – sprzeciwił się Duncan.

Gibbs uniósł brwi na Duncana, przyjmując bezpośredni kontakt wzrokowy, jakby nic nie znaczył. Imponujące, biorąc pod uwagę fakt, jak mocno Duncan zmarszczył brwi.

W końcu, Duncan ustąpił.

- Okej, ale jestem z tego niezadowolony.

Ben prawie się roześmiał.

Gibbs złapał nadgarstek Duncana i wyciągnął go z biura.

- Dzięki, Ben. Zobaczymy się za dziesięć dni.

Ben zwęził oczy na ich nagły odwrót. Nie mógł pozbyć się wrażenia, bo ton głosu Gibbsa był taki – taki opryskliwy – że Ben nie uwierzył mu ani przez minutę. Ci faceci coś kombinowali i zamieszany był w to futrzasty, długouchy gość stanu.

Rozdział 5

Gibbs szybko poprawił chwyt na ramieniu Duncana, ponieważ Duncan przykucnął, wytrącając Gibbsa z równowagi. Czuł jego szpony wbijające się przez cienki materiał w jego skórę.

To zostawi znaki.

Duncan skrzywił się.

- Chłopie, obetnij paznokcie.

- Mówiłem ci, żebyś założył skórzaną kurtkę. Jestem sową. Potrzebuję szponów do przytrzymania się – oznajmił Gibbs.

- Powiedz mi, gdy coś zobaczysz.

Gibbs trzymał go mocno. Obrócił głowę, trzęsąc nią, nieruchomo przeczesując wzrokiem teren biur Departamentu zza krzaka, gdzie przykucnął Duncan. Nawet wiatr przestał wiać. Wieczór miał niesamowity chłód. Oddech buchnął parą z warg Duncana. Inaczej noc pozostałaby cicha. Jedyne odgłosy, jakie wychwycił Gibbs, pochodził od rozrabiających myszy i nocnych poszukiwaczy.

- Czysto – ogłosił w końcu Gibbs.

Duncan przykucnięty ruszył do drzwi biura.

- Jest ktoś wewnątrz?

Pierś Gibbsa nadeła się od niewydanego pohukiwania. To rozległo się w ciszy i usłyszał prychnięcie Duncana. Gibbs mrugnął cierpliwie. Obaj dokuczali mu z powodu tego niestosownego pohukiwania, ale tak naprawdę, kiedy jesteś sową, to są niektóre rzeczy, które przychodzą naturalnie nieproszone.

Zignorował milczącą drwinę od Duncana i wpatrzył się intensywnie przez szklane drzwi biura.

- Też czysto.

Gibbs uniósł swoje skrzydła, rozciągając je i trzepiąc nimi ostrożnie. Poruszył przy tym nieruchome powietrze, wznecając zimny podmuch i ocierając piórami o policzek Duncana. Duncan spojrział na niego znacząco, na co Gibbs mocniej wbił swoje pazury.

Duncan mruknął, kiedy szpony Gibbsa przedziurawiły jego ramię przez sweter i koszulę. Rozluźniając swój niepewny uścisk na zmaltretowanym ciele Duncana, Gibbs rozwinął skrzydła i wzniósł się do góry. Gibbs skierował się na dach nad drzwiami. Zamrugął z powagą do zwróconej ku górze twarzy Duncana i cierpiących oczu.

Duncan kiwnął głową.

- Dzięki. Tylko hucz głośno, jeśli coś zobaczysz.

- Pewnie – odparł Gibbs.

Duncan poruszył klamką. W małej miejscowości, takiej jak Fletcher, Gibbs przypuszczał, że zawsze istniała szansa, iż Ben zostawi otwarte drzwi. Jednak, Ben brał poważnie swoją pracę, więc Gibbs wątpił, by tak było w tym przypadku. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ich wcześniejszą wymianę zdań w związku z Charliem.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Duncan zdmuchnął włosy z czoła. Potem spróbował trickeru z kartą kredytową, wsuwając twardy plastik między zamek w drzwiach.

Nie wiedział, dlaczego Duncan nawet próbuje to zrobić. To i tak nie pomoże.

- Pospiesz się – narzekał Gibbs.

- Próbuję! W końcu nie jestem specjalistą od włamań.

Gibbs wydał z siebie głos. Jego szpony skrobnęły o gont, bo Gibbs był już zmęczony czekaniem aż Duncan dostanie się do biura. Gibbs miał inny pomysł jak znaleźć Charliego, ale to nie było siedzenie bez celu na dachu budynku Departamentu. Gibbs zostawił swoje miejsce obserwacyjne.

- Jezu, Gibbs, powinieneś trzymać wartę – warknął cicho Duncan.

Obaj wiedzieli, że Gibbs może usłyszeć to narzekanie. Zdecydował jednak, że to nie jest wartę komentarza.

- To jest śmieszne. Nie wiem, co do cholery robię.

Nie gadaj, Sherlocku.

Kilka minut później, Duncan odłożył swoje narzędzie zde gustowany. Gibbs usiadł obok niego na ziemi, po tym jak sprawdził, że jest czysto.

- Zerknąłem przez okna. Nie widziałem tam żadnych zwierząt. Założę się, że zabrał Charliego do siebie.

- A gdzie to jest? – psioczył Duncan.

Gibbs ponownie uniósł się wysoko w noc, jakby chciał wyruszyć w stronę miejsca zamieszkania Bena. Mógł dać sobie spokój i powiedzieć Duncanowi, że wie, gdzie Ben mieszka, ponieważ odwiedzał go kilka razy na tydzień, ale to tylko sprawiłoby, że Gibbs naraziłby się na docinki. Nie miał ochoty na docinki dotyczące Bena, albo tłumaczyć się, że pierwszy raz podążył za Benem do jego domu już trzy lata temu, kiedy ten sprowadził się do Fletcher. Albo, że został pomyłony z Duncanem tej niesamowitej nocy, kiedy to jego serce zostało trochę poturbowane. Nie czuł się na siłach słuchać kpin. Szczególnie od Duncana.

Początkowo, Gibbs mówił sobie, że śledzenie Bena było sprawdzaniem nowego kolesia w mieście. Nawet wyjaśnił to sam sobie, jako potrzebę dowiedzenia się, czego szuka tutaj Departament, zwłaszcza, że któregoś dnia Gibbs, Duncan albo Charlie mogli łatwo znaleźć się w bezpośrednim kontakcie z Benem. Miał rację, tak się stało, ale tak naprawdę nie dlatego zaczął obserwować Bena.

Zaczął go obserwować, ponieważ coś w Benie przemówiło do Gibbsa. To mogła być jego normalność, coś, czego Gibbs nie miał. To nie było tak, że chciał zamienić swoją odmienność na normalne życie, ale spokojnie powtarzające się dni i noce Bena uspokajały go.

I był samotnikiem. Ben mieszkał w drewnianej chacie sam, często przekładając światło świec nad elektrycznością. Ben, jak się wydawało, chciał stać się częścią natury w sposób, w jaki większość w pełni ludzi nie chciała. Gibbs szczególnie lubił, gdy Ben siadał na frontowym ganku i sączył herbatę, podczas gdy on bezmyślnie kołysał się na gałęzi w tę i z powrotem.

Innym razem, Ben ciął drzewo, a koszula zdjęta z jego silnego ciała ujawniła szczegóły jego postaci, których nikt nie odgadłby, że ukrywają się pod nijaką, zapinaną od góry do dołu na guziki, koszulą munduru. Wtedy to, ciało Bena rozciągało się i prężyło podczas podnoszenia siekiery nad głowę, jego ramiona zataczały łuk w górę. A potem opadając w dół, przecinał drewno perfekcyjnie przez środek. Mięśnie jego brzucha i torsu napinały się, lśniąc od potu.

Na jego brwiach zebrała się wilgoć, więc Ben wytarł czoło wierzchem przedramienia, nieświadomy swojej zwierzęcej publiczności.

Gibbs ruszył do chaty. Okrążył ją w górze dwa razy, zanurkował w dół, by zerknąć w okna, ale nie zobaczyć tego, czego szukał. Mimo to czuł, że znajdzie. Bo jeśli dobrze poznał Bena, był pewny, że Charlie został przyniesiony tutaj. Gibbs podleciał z powrotem do Duncana i zahuczał wysoko i głośno.

- Idź do chaty na skraju dawnej farmy Bertrama Tillmana. Tam się spotkamy.

- W ten sposób? – zawołał Duncan.

- Przynies moje rzeczy. Jeśli będę musiał się zmienić, kiedy przyjdiesz – odparł Gibbs.

- Chcę się zatrzymać i najpierw coś wziąć. Ale ty leć.

Gibbs wrócił tam skąd przyleciał. Kiedy obniżył swój lot, zobaczył Bena na frontowym ganku. Siedział na huśtawce, z kubkiem herbaty w swoich rękach, i wpatrywał się daleko w przestrzeń. I tak jak Gibbs robił wiele razy przez miniony rok, zniżył się zajmując miejsce na solidnej drewnianej balustradzie ganku.

- Oh, cześć, przystojniaczku – odezwał się Ben, jego cichy głos poniósł się z łatwością w stronę Gibbsa.

Gibbs otrząsnął się z zadowoleniem. Zahuczał miękko w dowód wdzięczności.

Ben się uśmiechnął.

- Tęskniłem za tobą. Kiedy to było? Tydzień temu?

Osiem dni.

- To wtedy pozwoliłeś mi podejść wystarczająco blisko ciebie, bym mógł cię dotknąć.

I nie dam więcej, bo podejrzewam, że będziesz chciał założyć mi obrozę radiową. A puchacz wirginijski byłby wspaniałą nagrodą w twojej radiowej kolekcji. Poza tym, kiedy ostatnio mnie dotykałeś zostawiło to niezatarte wrażenie.

Ben pochylił się do przodu. Speszony uśmiech wygiął jego wargi.

Gibbs mrugnął na niego i stuknął dziobem.

- Mógłbym przysiąc, że wszędzie cię widzę. – Ben zaśmiał się sam z siebie. – Kiedy dzisiaj patrzyłem na Gibbsa, myślałem, że patrzę w twoje piękne oczy. Dziwne, prawda?

Gibbs bokiem zrobił ku niemu kilka kroków. Wciąż był poza zasięgiem, ale już blisko. Okręcił głowę i zahuczał jeszcze raz, tym razem czyniąc ten dźwięk bardziej prywatnym.

- Czasami myślę, że mnie rozumiesz – dumął Ben, opierając się z powrotem o huśtawkę. – Boże, jesteś piękny.

Gibbs nastroszył pióra, zatrzepotał z przyjemnością skrzydłami przy swoich bokach. Ten facet z pewnością potrafił prawić komplementy.

Dźwięk opon chrzęszczących o żwir doszedł do niego prędzej niż ujrzał samochód Duncana. Obrócił głowę, czekając na jego przyjazd.

- Coś tam jest? – zapytał Ben wstając, ale jeszcze nie słysząc pojazdu.

Gibbs zeskoczył z balustrady i poszybował na najbliższe drzewo. Zobaczył Duncana, jadącego na tyle wolno, że wyrzucił przez okno ich worek, zanim podjechał do chaty Bena.

Duncan zatrzymał się przed frontem małego domku. Ben podszedł do niego, jego kroki były wolne i ostrożne. Dobrze wyglądał bez munduru. Było coś seksownego w tym facecie ubranym w wypłowiałe dzinsy i koszulkę. Bluza z marynarki wojennej, do połowy zapięta, nie zniechęciła w ogóle Duncana.

- Duncan? – zawołał Ben z niedowierzaniem.

- Hej. Tak sobie pomyślałem, że po naszej dzisiejszej napiętej wizycie, chyba powinienem wyjaśnić ci kilka rzeczy.

- Naprawdę? – Ton Bena wskazywał na to, że nie wierzy w wymówkę Duncana. Wargi Bena zacisnęły się w cienką, twardą linię.

Duncan uniósł sześciopak piwa.

- Naprawdę. Gibbs będzie tu za minutę. Nie masz nic przeciwko towarzystwu?

Znowu pojawiło się to ostrożne spojrzenie, które Duncan zauważył. Uśmiechnął się, próbując przekonać Bena, że jego intencje są czyste.

- Nie mam nic przeciwko towarzystwu, ale dyskusje o małych, skocznych zwierzętach nie wchodzą w grę.

- Dobra – zgodził się Duncan.

- I szorstkie pieszczoty w ciemności także odpadają.

- O-kej. – Duncan rzucił to słowo, nie bardzo wiedząc, co Ben miał na myśli. Duncan nigdy nie stronił od dobrych pieszczot, ale co skłoniło Bena do wypowiedzenia tego warunku?

- Narozrabiałeś ostatnim razem, Duncan. Jeśli nie byłeś zainteresowany, powinieneś coś powiedzieć. – Ben zaprosił go na ganek.

- Ostatnim razem?

Ben wypuścił znękany jęk.

- Daj spokój. Nie zachowuj się jak idiota. Jeśli byłeś zainteresowany jedynie szybkim numerkiem, powinieneś powiedzieć mi to od razu.

Cichy zdławiony chichot Duncana był jednocześnie zmieszany i zakłopotany.

- Chłopie, nie wiem, o czym mówisz.

Ben zbladł. Kiedy jego oczy uciekły w bok, nie zrobił tego wystarczająco szybko, by ukryć ból, który Duncan w nich zobaczył. Duncan znalazł się na ganku, przy boku Bena, w dwóch skokach i chwycił go za ramiona zanim się odsunął.

- Ben, jesteś gorący, śmiesznie zachwycający w ten zapięty na ostatni guzik sposób. Gdybym kiedykolwiek chciał mieć z tobą szybki numer, przeżywałbym każdy tego moment. – Jego oczy odszukały oczy Bena, gdy ten podniósł je ze zdziwieniem. – *Naprawdę* nie wiem, o czym mówisz.

Zmieszanie pojawiło się na twarzy Bena. Bardziej wyglądał na oburzonego niż na kogoś, kto odczuł ulgę, co jak stwierdził Duncan nie obrało kierunku, w jakim chciał zmierzać.

- Ubiegłoroczny Festiwal Wiosny, Duncan. Ty i ja poszli razem do lasu. Byłem aż tak niewart zapamiętania?

- Boże, nie! Wciąż pamiętam jak smakowały twoje wargi. – Duncan się uśmiechnął. – Nigdy się nie spodziewałem, że wzbudzam w tobie takie uczucia, ale do diabła nigdy bym cię nie odprawił.

- Pamiętasz jak mnie całowałaś?
- Sądzę, że to raczej ty mnie pocałowałaś – drażnił się Duncan.

Policzki Bena poczerwieniały, ale im bardziej Duncan wpatrywał się w Bena, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że Ben nie jest ani wstydlivy ani nieśmiały, kiedy był wkurzony. Jeszcze raz, to nie był kierunek, jaki miał nadzieję obrać z Benem.

- A co z całą resztą?

Duncan zamilkł, przeszukując swoje myśli za tym, co wyjaśniałoby to, o czym mówił Ben. Odtworzył cały wieczór, pocałunek, tańce, ten moment, kiedy zobaczył jak Gibbs podąża za Benem...

- Oh. Oh! O, Boże, myślałaś, że to ja? – powiedział nagle Duncan.
- Nie drażnij się ze mną, Duncan. Wiem, że to byłeś ty.
- Do diabła, chciałbym, żeby tak było. Z pewnością byłem zainteresowany.

Ben skrzyżował ramiona na piersi. W ciszy wpatrywał się w Duncana. Po dłuższej chwili, Ben wygiął brew. Wyraźnie czekał na wytłumaczenie się Duncana. Duncan westchnął.

- Zobaczyłem, jak kierujesz się z kimś do lasu. Stałem w altanie z Charliem, próbując wyperswadować mu poproszenie syna szeryfa do tańca. On zawsze próbuje prowokować tego faceta, a ja wiedziałem, że on nie przyjmie tego zbyt dobrze. Chociaż z drugiej strony, syn prawdopodobnie skwapliwie skorzystałby z okazji, by wkurzyć swojego ojca.

- To byłeś ty – nalegał Ben.
- Nie – odpowiedział Duncan równie dobitnie. – To nie byłem ja.
- On był zbudowany tak jak ty. Ten sam wzrost i wszystko inne.
- To nie byłem ja.
- Jeśli nie ty, to kto? – sprzeczał się Ben.
- Jeśli ci tego nie powiedział, widocznie miał jakiś powód.

Chrzęst stóp idących po żwirze doszedł do ich uszu. Gibbs wyszedł zza rogu chaty, z rękami w kieszeniach i rozwichrzonymi włosami. Oczy Bena rozbłysły, zanim wróciły z powrotem do Duncana.

Ciekawe.

- To nie koniec. Porozmawiamy o tym później i powiesz mi, kto to był – powiedział stanowczo Ben.

Ben odwrócił się do nich plecami, unosząc brodę w stronę drzew, jakby czegoś szukał, zanim usadowił się na huśtawce. Gibbs wspiał się po schodach. Duncan postawił sześciopak na grubo ciosany stół, złapał jedną butelkę i oparł się o drewnianą belkę podtrzymującą dach ganku. Uniósł w toaście butelkę do Bena, a potem odkręcił nakrętkę i wziął długi łyk.

- Nie ma nic lepszego jak zimne piwo w chłodną noc – powiedział Duncan, by przerwać niezręczną ciszę. – Usiądź Gibbs. – Wskazał puste miejsce przy Benie.

Gibbs rzucił mu spojrzenie, ale podszedł, zajął wolne miejsce i posłał szybki uśmiechu Benowi.

- Więc – odezwał się Ben. – Oto jesteśmy.

- Tak – zgodził się Gibbs. – Z całą pewnością jesteśmy. – Sięgnął po dwie butelki, wręczając jedną Benowi.

Ben opróżnił swój kubek i wziął od niego bursztynową butelkę.

- Nie czujesz się tutaj samotny? – zapytał Gibbs po chwili.

- Nie, gdyż odwiedzają mnie ludzie bez wyraźnego powodu.

- Chcesz, żebyśmy sobie poszli? – zapytał Duncan, wstrzymując oddech.

Ben wzruszył ramionami. Jego spojrzenie prześliznęło się od Duncana do Gibbsa. I zostało na profilu Gibbsa, zaczął przyglądać się wargom i oczom Gibbsa. Wziął pierwszy łyk z butelki, wciąż patrząc. Duncan przekrzywił głowę z ciekawością. Ben obejmował wzrokiem jego sowiego przyjaciela.

- Mogę skorzystać z twojej łazienki? – zapytał nagle Duncan.

Ben wpatrywał się w jego oczy przez kilka milczących sekund zanim kiwnął głową.

- Korytarzem na prawo, pierwsze drzwi na lewo.

- Dzięki – odparł Duncan. Mrugnął okiem do Gibbsa, a potem zniknął w środku. By przeszukać chatę i znaleźć Charliego. Pełnia była jutrzejszej nocy. Jeśli nie chciał, już

na zawsze, widzieć swojego najlepszego przyjaciela w postaci zająca, musiał uwolnić tego seksownego małego łajdaka.

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 6

Ben obserwował odejście Duncana, dopóki ten nie zniknął mu z oczu. Powinien wejść i sprawdzić go, natychmiast jak wszedł. Podejrzywał Duncana, żeby poszedł szukać zajęcia. Tak naprawdę, był pewny, że ta mała wizyta miała tylko to na celu.

To był wstyd. Byłoby miło mieć wizytę pary świetnie wyglądających facetów, tylko dla samej wizyty pary świetnie wyglądających facetów. Wciąż musiał przekonać Duncana, by powiedział mu, co wiedział na temat tamtej nocy w zeszłym roku. Absolutnie nie wierzył w historię Duncana. Sposób, w jaki Ben to widział, to sprawy stały się trochę zbyt gorące i ciężkie dla niego, więc teraz musiał się z tym zmierzyć.

Wypił łyk piwa. Popatrzył na członka pozostałej trójki, którzy wydawali się być nierozłączni.

- Gdzie Charlie? – zapytał Ben.

- Uh... jest niedostępny – odparł Gibbs, szybko podnosząc piwo, jego oczy spojrzały w bok.

Boże, jeszcze raz to samo. Poufałość i mały dreszcz, który skręcił żołądek Bena. To przyszło znienacka, ale zawsze, gdy patrzył albo myślał o Gibbsie. Gdyby nie wiedział lepiej, nazwałby to pociąganiem. Nie mogło tak jednak być, ponieważ Ben zawsze lubił facetów takich jak Duncan.

Ale obok siedział Gibbs. Wyglądając słodko, w taki niezręczny, lekko roztargniony i nieśmiały sposób, jak facet, który chciał powiedzieć coś ważnego, ale nie mógł wykrztusić słów.

Gibbs odwrócił od niego wzrok w ciemność. Opuścił rękę na oparcie, nieumyślnie przykrywając dłoń Bena.

Ben i Gibbs obaj podskoczyli.

Gibbs przeprosił i znowu odwrócił wzrok.

Ben przyglądał się długim, zawiniętym palcom, które spoczywały na ławce obok jego. Wierzch dłoni Bena wciąż mrowił. Czuł się trochę tak jak dziewczyna, która została zauważona. Czuł się jak dziewczyna, która ma zawroty głowy.

Wciąż przesuając wzrokiem po liniach jego palców, Ben wymruczał.

- Wiesz, to jest śmieszne, ale przypominasz mi tego puchacza wirginijskiego, który czasami mnie odwiedza.

Gibbs obrócił głowę. Ben spojrzał i zobaczył rozszerzone, złote oczy. Najwyraźniej zaskoczony tymi słowami, Gibbs zamrugał szybko, jego długie czarne rzęsy zatrzepotały, w bardzo podobny sposób jak robiła to sowa. Rumieniec wspiął się po szyi Gibbsa i doszedł do jego małżowin usznych już, jako blady róż.

- Sowa? – zapytał ostro.

- Tak, wiem. Brzmi dziwnie, ale myślę, że to są twoje oczy.

Gibbs nieświadomie popchnął swoje okulary, wywołując tym uśmiech ze strony Bena. Gibbs naprawdę był atrakcyjnym facetem, zdecydował. Ben wyciągnął swój mały palec, by dotknąć boku ręki Gibbsa. Gibbs spojrzał w dół.

- Duncan nie powinien już wrócić? – zapytał Ben.

Gibbs podniósł brodę, wpatrując się w Bena ponad ciężkimi oprawkami swoich okularów.

- Prawdopodobnie.

Ku zdziwieniu Bena, Gibbs przykrył dłoń Bena swoją własną. Niepewność zmała niezwykle oczy Gibbsa. Gdy Ben się nie odsunął, kąciki ust Gibbsa wygięły się w uśmiechu. Wydało mu się, że zobaczył błysk nadziei w oczach Gibbsa. Było coś głęboko ujmującego w ich wyrazie.

Wzrok Bena skupił się na cudownych tęczęwkach Gibbsa.

- Muszę czegoś spróbować.

Gibbs chciał coś powiedzieć, ale Ben uciął to, co chciał powiedzieć, niepewnym muśnięciem swoich warg. Gibbs ścisnął rękę Bena, a potem pochylił się do pocałunku. Ben zatopił palce w gęstej masie włosów wyjątkowego koloru. To była kolejna cecha sowy przypisana Gibbsowi. Jak u ptaka, jego gęste włosy miały kolorowe pasemka

rdzawego brązu i szarawego blondu. Jakby włosy tego mężczyzny przejęły wszystkie te same zróżnicowane kolory, co jego tygodniowy gość.

Przezcesał kosmyki między swoimi palcami, które były miękkie i nie do odparcia.

W tym momencie, pamięć rozpalila się w jego umyśle i Ben przypomniał sobie te chwile na Festiwalu Wiosny z całkowitą jasnością. Zapamiętał to wrażenie jak miękkie są włosy Duncana. Zapamiętał to dziwne mruczenie w głębi jego gardła i dokładny moment, kiedy delikatny pocałunek stał się mocną potrzebą.

Tak jak teraz.

Jego umysł walczył z porównaniem. Ben był pewien, że to był Duncan, ale ten pocałunek, ten smak, te odczucia ściskające żołądek były identyczne do tych, jakie zapamiętał. Duncan i Gibbs mieli z grubsza ten sam wzrost i budowę ciała, obaj byli szczupli i mocni. Obaj – cholera, mieli na sobie plastikową czarną maskę tej nocy, której on nie pozwolił *Duncanowi* zdjąć.

Czy to był Gibbs? Czy jego tajemniczym kochankiem, który go omotał tamtej nocy, mógł być Gibbs?

Gibbs przysunął się bliżej, zawijając tę rękę wokół pasa Bena, którą przedtem trzymał jego dłoń. Drugą przesunął w górę nogi Bena z kolana na wewnętrzną stronę uda. Ich pocałunek skończył się, kiedy Gibbs wydawał się czekać na reakcję Bena, a Ben nie stawiał żadnego oporu.

Ben zbijał go z tropu. Gibbs zawsze przyciągał jego uwagę, ale dopiero od niedawna Ben zaczął pytać sam siebie, co takiego było w Gibbsie, że go tak fascynował. Ale wciąż nie znalazł odpowiedzi. Wiedział tylko, że ten moment jest wspaniały i z pewnością przemawia do niego.

- To byłeś ty – szepnął Ben. – To nie był Duncan. To byłeś ty.

Oczy Gibbsa rozszerzyły się. Obliznął nerwowo swoje wargi.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytał Ben, kierując rozmowę. Musiał wiedzieć. Ta noc była niesamowita i spędził cały rok na zastanawianiu się, dlaczego Duncan nie skorzystał z okazji, bo po tym serce Bena się rozsypało.

- Myślałem, że wiesz. – Gibbs nie odszukał oczu Bena, na jego twarzy był ból.

Ben chciał coś zrobić, byle tylko zetrzeć ten wyraz z jego twarzy.

- Myślałem, że jesteś Duncanem – Ben próbował wyjaśniać.

- Tak, zrozumiałem to. Kiedy w końcu użyłeś jego imienia, tuż po tym jak... jak właśnie doszedłem – dokończył z trudem.

- Jezu. – Benowi zrobiło się niedobrze. Nie dlatego, że to, co dzielili, znaczyło coś mniej, ale z powodu tego, co to musiało zrobić Gibbsowi.

- Nie wiedziałem, że go pragniesz – powiedział cicho Gibbs. – Myślałem, że kiedy znalazłem cię w lesie i powiedziałaś, że cieszysz się, iż przyszedłem za tobą, to wiedziałaś, kim jestem. Zaproponowałem, że zdejmę maskę, ale tobie bardziej podobało się z maską.

Ben odtworzył sobie tę rozmowę w głowie. Potem kiwnął. Powiedział tak. Ale był zachwycony tym, że Duncan celowo próbował złapać go samego.

- Wcześniej tej nocy, pocałowałem Duncana – powiedział Ben Gibbsowi. – Myślałem, że wrócił po więcej.

Gibbs podniósł głowę, nie ukrywając już bólu w swoich oczach.

-Nigdy mi o tym nie powiedział. Pragnę cię od lat, Ben.

- Tej nocy, powiedziałaś, że mnie obserwowałaś – przypomniał Ben.

- Dzień, w który przejechałeś do miasta, był dla mnie jak zastrzyk świeżego powietrza. Gdy złapałem cię samego, myślałem, że też to czułeś.

Ben dotknął policzka Gibbsa, a potem zahaczył palec o jego okulary i ściągnął je. Chciał zobaczyć te wspaniałe oczy koloru whisky bez żadnych przeszkód. Gibbs zamrugał, prawdopodobnie by ustawić swój wzrok.

- Naprawdę cię skrzywdziłem. Przepraszam – powiedział Ben.

- Powiniennem wiedzieć. Duncan jest w typie każdego.

Ben potrząsnął głową.

- Też tak myślałem. Ale przestałem. Zawsze próbowałem sobie wytłumaczyć, dlaczego nie mogę oderwać od ciebie moich oczu. Teraz wiem. Myślę, że gdzieś tam w podświadomości, wiedziałem, że to nie był on tej ciemnej nocy.

Wyraz twarzy Gibbsa złagodniał.

- Ja nigdy nie wątpiłem, z kim się kochałem. Byłem z mężczyzną, którego pragnąłem. – Jego oczy błysnęły. – A on był ze mną, aż do końca, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że myśli, iż kocha się z kimś innym.

Serce Bena krajało się bólem, który wyczuwał od Gibbsa. Nic dziwnego, że się nie odważył i nie zdradził swojej tożsamości. Kto by to zrobił, po tego rodzaju intensywnym odrzuceniu?

- Byłem idiotą.

- Byłeś szczery – poprawił Gibbs.

- I jestem szczery teraz. Pragnę cię. Spróbujemy to naprawić? – zapytał Ben.

Gibbs go pocałował. Ben miał wrażenie, że spada, podtrzymany tylko przez parę najbardziej miękkich ust, jakie kiedykolwiek całował, i ramion mężczyzny, który nigdy go nie puści. Gibbs odsunął się, opierając swoje czoło o Bena.

- Duncan wróci lada chwila.

- Może jednak nie wróci – zasugerował Ben. A potem zastanowił się nad tym i zdecydował, że to nie jest taki świetny pomysł. Duncan bardzo chciał tego zajęcia. Czy wykorzystałby nieuwagę Bena, by przeszukać jego dom? Prawdopodobnie. Zmarszczył brwi, pragnąc by Duncan nigdy nie pojawił się tego wieczoru. Wtedy mógłby spędzić cały wieczór na pogodzeniu się z Gibbssem.

- Wrócimy do tego później – zaproponował Ben.

Gibbs uśmiechnął się, głupkowatym małym wygięciem ust, które pasowało do miękkości odbijającej się w jego oczach.

- Chciałbym bardzo.

- Ja też – odetchnął Duncan.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego.

Duncan ruszył do nich.

- Nie bądźcie speszeni. To było cholernie gorące.

- Nie znalazłeś go, prawda? – zapytał Ben, unosząc brew.

- Nie znalazłem kogo? – Błysk winy w oczach Duncana powiedział Benowi, że miał rację, więc nie odpowiedział, tylko przyszpilił go spojrzeniem.

- Zająca. – Jakby Duncan mógł go nabrać, pomyślał Ben.

- Nie – przyznał Duncan. – Gdzie on jest?

- Nie tam, gdzie patrzyłeś – odpowiedział Ben zadowolony z siebie.

- Wiesz, jeśli zwrócisz króliczka, możemy stworzyć czwórkę – zaproponował Duncan. Rzucił spojrzenie na Gibbsa. Benowi wydawało się, że kątem oka zobaczył kiwnięcie głową Gibbsa.

- Proszę powiedz mi, że to była łapówka, a nie propozycja wypieprzenia króliczka – powiedział Ben.

Wargi Duncana się wygięły.

- Oczywiście, że to była propozycja.

Ben się roześmiał.

- Nigdy nikogo nie zaprosiliśmy do naszego kółka – dodał Gibbs.

Zielone oczy Duncana wydawało się, że pociemniały.

- Zapewniam, że Charlie i ja pójdziemy na to, jeśli wy dwaj wchodzicie do gry.

Serce Bena zabiło dziko.

- Jako czwórka? Wy trzech sypiacie razem?

Duncan wzruszył niedbale ramionami.

- Tak.

- Przeważnie, ponieważ on zawsze szuka dobrej wymówki, żeby zaciągnąć Charliego do łóżka – drażnił się Gibbs. – I nie chce przyznać się Charliemu jak bardzo go pragnie. Jeszcze.

- Bzdura. Charlie to arogancki kutas. – Duncan zmarszczył brwi.

- Ach, więc to jego kutasem jesteś zainteresowany – kpił Ben.

- Gdyby wiedział, zjadłby mnie żywcem – psioczył Duncan.

- Czy nie w tym rzecz? – zapytał Ben.

Duncan się uśmiechnął.

- Tak, ale nigdy mi nie odpuści.

- Nie dowiesz się tego, dopóki nie zapytasz – odparował Ben.

- Może kiedyś – zgodził się Duncan.

- Złapałeś mnie, jak obściskiwałem się z Gibbsem, więc oczywiście chcesz skoczyć prosto do orgii – skomentował Ben z niedowierzaniem. – Daj spokój.

- Tak naprawdę, złapałem was, jak się pieściliście, ale wiem również, że wy dwaj byliście już przedtem napaleni. Poza tym, wiem jak smakuje całowanie cię, więc nie miałbym nic przeciwko zrobieniu tego jeszcze raz – dokończył Duncan.

- Tak, właśnie się o tym dowiedziałem – odparł Gibbs rozdrażnionym głosem.

- Dlaczego myślisz, że byłbym tym zainteresowany? – zapytał Ben.

- Ponieważ latałeś za mną, a teraz robisz to samo z moim przyjacielem. Przypuszczam też, że nie miałbyś nic przeciwko odrobiny uwagi od Charliego – zauważył Duncan.

Ben obrócił głowę, by spojrzeć z niedowierzaniem na Gibbsa.

- On mówi poważnie – powiedział Gibbs.

- A co, jeśli pragnę tylko *jednego* faceta? – zasugerował Ben. Jego spojrzenie przylgnęło do ust Gibbsa.

Gibbs się uśmiechnął.

- Jesteś zainteresowany? – zaśpiewał Duncan.

Ben kiwnął głową.

- Mógłbym być. Ale bądźmy szczerzy, wciąż nie możesz dostać swojego zająca. – Uśmiechnął się łagodnie. – Chcesz wycofać się ze swojej propozycji orgii?

- Nie prosiłem o zwrot mojego zająca – burknął Duncan.

Gibbsa wyciągnął rękę i nastroszył gęstą, jasnobrązową czuprynę Duncana. Cmoknął przepraszająco.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło, chłopie.

Duncan szarpnął głową, odsuwając się z wyraźną irytacją.

- Pewnie – zgodził się Ben. – Jestem za poczwórną orgią przez cały cholerny czas. To niewiarygodne, że dałem się w to wciągnąć.

Duncan wydał usta i, jeśli zaciśnięcie szczęk i zmarszczenie brwi nieustępliwego faceta może być uważane za dąsy, to właśnie tak to wyglądało. Był rozdrażniony, jednak czy powodem tego było to, że Gibbs zmierzwił mu włosy, czy dlatego, że Ben kpił z propozycji seksu, nie mógł tego stwierdzić.

- Gibbs, możesz dać mi minutę z Benem, proszę?

Gibbs założył ramiona na piersi.

Duncan przechylił głowę, a jego oczy wydawały się patrzeć przez Gibbsa.

- Dobra – mruknął Gibbs.

Zamiast odejść, Gibbs się obrócił, złapał Bena za tył jego głowy i przyszpilił go pożądliwym pocałunkiem. Ben nie miał czasu złapać oddechu. Zaciśnięte palce pociągnęły za włosy z tyłu jego głowy, zmuszając jego twarz do zwrócenia się w stronę Gibbsa. Odplynął. Jego złote oczy zamglily się, kiedy usta Gibbsa zawładnęły jego w druzgocącym nacisku ust i języka.

Ben chwycił biodra Gibbsa tak mocno, że jego palce zdrętwiały, a mimo to i tak nie było to wystarczające, by uspokoić wirującą ciemność za powiekami, uspokoić walenie serca, kiedy każdy nerw w jego ciele szalał od wrażeń.

I tak nagle jak pocałunek się zaczął, Gibbs się odsunął, zostawiając Bena mrugającego i kołyszącego się odrobinę, obserwującego jak Gibbs schodzi ze schodów ganka i znika w ciemności nie oglądając się za siebie. Ben próbował uzmysłowić sobie, co do cholery, wywołało ten moment, ale wszystko, co mógł robić, to patrzeć na te długie nogi i szczupłe biodra mężczyzny, który pocałował go do utraty zmysłów, znikające w ciemności.

- Hm, cokolwiek masz mi do powiedzenia, lepiej, żeby to było cholernie ważne – wymamrotał Ben.

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 7

Duncan podążył za spojrzeniem Bena, zauważając dumne kołysanie się ramion Gibbsa, ramion mężczyzny, który osiągnął swoje. Z cholernymi fajerwerkami. Równie dobrze mógł postawić stempel na czole Bena - *mój*.

Nie trzeba było nic dodawać. To również wiele mówiło o uczuciach Gibbsa do Bena. Ich trójka nigdy nie zapraszała kolejnego członka, ale też Gibbs nigdy nie okazywał żadnego zainteresowania innymi mężczyznami. A już z pewnością żadnym nie zmiennym mężczyzną. I to był prawdziwy powód, dlaczego zaprosił Bena, żeby się przyłączył. Spojrzenie od Gibbsa powiedziało Duncanowi, że to zrozumiał.

Cholera. To sprawi, że odzyskanie Charliego od Bena będzie dużo trudniejsze.

Duncan wziął głęboki wdech i przeczesał ręką swoje włosy. Jak do diabła ma się dowiedzieć, gdzie jest Charlie, po tym jak Gibbs zrobił ten emocjonalnie irytujący ruch? Cokolwiek Duncan będzie próbował, będzie to wyglądało na nieszczerze. Co było śmieszne, ponieważ Ben był przystojnym facetem. Szczupłym, trochę niższym od Gibbsa i Charliego, ale silnym i poważnym z tymi czystymi niebieskimi oczami, które obecnie nie wyglądały na rozbawione z powodu przedłużającej się ciszy Duncana. Nie było nic nieszczerzego w Duncanie, który chciał uderzyć do Bena. Chętnie wypieprzyłby Bena.

Może był sposób, by przenieść to pragnienie do łóżka. Może mógłby dać Gibbsowi kopa i pomóc w nawiązaniu tego nowego związku.

- No i? – zapytał z naciskiem Ben.

- Okej, powiem ci to wprost. – Bo co innego mógł zrobić?

- To byłby jakiś początek – zgodził się Ben.

- *Muszę znaleźć mojego zająca. Muszę dostać go z powrotem na następne trzydzieści sześć godzin.*

- Dlaczego?

Duncan odetchnął. *Ponieważ zając jest Charliem, a ja go kocham.* Ale nie mógł tego powiedzieć. Ponieważ chciał powiedzieć to Charliemu osobiście.

- Przywiozę go z powrotem i możesz zamknąć go na tak długo, jak chcesz. Bóg jeden wie, że, ten mały gówniarz, zasługuje na ciasną klatkę, ale musisz pozwolić mi wziąć go do domu. Tylko na ten czas.

Ben potrząsnął głową, ręce oparł na biodrach tak, jakby próbował być bardzo cierpliwy dla tego szalonego faceta. Żeby być szczerym, Duncan właśnie mówił, jakby był szalonym facetem. Chociaż Charlie bywał denerwujący, to jednak nie zasłużył na to, by zostać uwięzionym w swojej zmienionej postaci na zawsze. Nawet nie w żartach, a już szczególnie nie dlatego, że to rozwiązałyby sprawę tego, iż Duncan był zakochany w Charliem. Jak może być zakochany w zającu przez resztę swojego życia? To niemożliwe. Co znaczyło, że Duncan musi próbować dalej.

Gdyby mu się nie udało, zwróci się do Gibbsa, by spróbował jutro, a sądząc z tego bardzo prawdziwego pocałunku, którego był świadkiem, Gibbs nie chciałby zaczynać swojego potencjalnego związku uwodzicielskim szantażem.

I Duncan nie chciał tego także dla niego. Właśnie zaczynał rozumieć, co dla niego znaczy Charlie. Jeśli Gibbs czuł to samo w stosunku do Bena – a wydawało się, że tak jest, albo przynajmniej chciał, żeby tak było – wtedy Duncan musi bardziej się postarać, by Gibbs nie był zmuszony ryzykować swojego rodzącego się dopiero związku.

- Nie mogę pozwolić ci go zabrać na jedną noc. Już ci tłumaczyłem, że muszę zatrzymać go na kwarantannę na dziesięć pełnych dni. Co oznacza, że nie mogę dać mu żadnej przerwy, ponieważ ty nie chcesz rozdzielać się ze swoim zającem. – Wargi Bena się wygięły i Duncan wychwycił mimowolną kpinę.

- To kwestia życia i śmierci – powiedział Duncan próbując jeszcze raz.

- Jestem pewny, że tak. Mojej, przeważnie, ponieważ jestem tym pogryzionym. Słuchaj, jeśli przestanę sprawować nad nim opiekę, a on ugryzie ponownie, to Departament będzie ponosił odpowiedzialność. Nie podejmę ryzyka moją pracą, moim życiem, albo życiem kogoś innego.

- Nie pozwę cię – obiecał Duncan.

- Nie żartuj. Nie będzie żadnego powodu do wnoszenia oskarżenia, ponieważ on zostaje ze mną. – Ben uniósł rękę, kiedy Duncan próbował mu przerwać. – I nie myśl sobie, że wysyłając Charliego do mnie w tej sprawie, coś wskóracie. Wiem jak działa wasza trójka.

- Uwierz mi, Charlie zrobi wszystko, co możliwe – odparł tajemniczo Duncan.

Ben spoglądał na granicę lasu. Prawdopodobnie zastanawiając się, gdzie poszedł Gibbs. Uśmiechnął się na wspomnienie Gibbsa. *Gdyby tylko wiedział, że ma szansę ze swoim wymarzonym urzędnikiem Departamentu.*

- On cię lubi - powiedział Duncan.

- Kto?

- Gibbs.

- Albo robi to, bo myśli, iż to sprawi, że dam się namówić na wypuszczenie jego zająca.

Duncan prychnął.

- Ten uścisk, w którym cię trzymał, był bardzo emocjonalny. Niemal doszedłem w moich spodniach.

Ben spojrzał na niego ostro.

- Co? To było gorące. – Duncan podszedł bliżej. – Pamiętam jak to jest, gdy się ciebie całuje. Jestem całkiem pewny, że zawróciłeś mu w głowie, tak jak mnie. Poza tym, jest dla mnie oczywiste, że wy dwaj możecie mieć całkiem dobrą zabawę.

Brew Bena się uniosła.

- Wow, ty to masz gadane.

- Ale przecież chcesz zobaczyć się z nim ponownie, prawda?

- Tak – odpowiedział cicho Ben.

- Więc oddaj trochę tej intensywności i zgódź się na tę propozycję czwórki. Będę próbował poderwać Charliego, podczas gdy ty poznasz Gibbsa. Całego Gibbsa, w tym otwarty związek, jaki wszyscy uznajemy.

- Ty i Charlie jesteście parą?

- Tak, hm. On i ja jesteśmy... w pewien sposób – wyjaśnił Benowi z większą fantazją niż prawdą.

- Myślałem, że szukasz wymówek, żeby go poderwać – drażnił się Ben.

- Tak jest. Ach. To jest naprawdę skomplikowane. Minie dużo czasu zanim go dogonię – śpiesznie wyjaśnił Duncan. – Ja go gonię. On mi pozwala. Razem uprawiamy seks i przepędzamy nasze demony. Gibbs zostałby bez pary, gdybyśmy z Charliem zaczęli spotykać się regularnie.

- Czy Gibbs wróci? – zapytał Ben ostrożnie.

- Prawdopodobnie nie.

Ben opuścił swoje oczy na deski ganku. Kiedy podniósł je ponownie, wyglądał na zrezygnowanego.

- Zabiorę cię do twojego zajęcia, ale on zostaje ze mną.

- Po prostu muszę wiedzieć, czy z nim wszystko w porządku – zgodził się Duncan.

Ben potrząsnął głową.

- Macie dziwne stosunki ze swoim zwierzakiem.

Duncan uśmiechnął się kpiąco.

- Jestem blisko z moimi chłopakami, a wszyscy jesteśmy blisko z naszym zwierzakiem. To jest jak komuna mi-łości.

Ben się roześmiał, potrząsając głową.

- Okej, chodź. Jest w środku.

- Ale powiedziałeś...

- Nieważne, chciałem tylko zbić cię z tropu. Ale on jest mój. Odniosłem wrażenie, że wasza trójka spróbuje wrócić tu dzisiaj w nocy i go zabrać.

- Kradzież z włamaniem? My? – Duncan próbował powiedzieć to takim głosem, żeby to zabrzmiało jak absurd, ale Ben wiedział swoje.

Ben nie skomentował tego, tylko wprowadził go do środka i poprowadził korytarzem do głównej sypialni. Tuż za nią, zapalonym światłem kuśiła główna łazienka. Podążył za Benem w tamtą stronę. Schowana za drzwiami otwartej szafy stała klatka.

- Hej kolego – odezwał się radośnie Duncan. – Założę się, iż myślałeś, że zapomnieliśmy o tobie. Nie zapomnieliśmy, po prostu dogadujemy szczegóły z Benem.

Duncan wsunął palce między pręty klatki. Charlie otworzył swój pyszczek, jakby planował go ugryźć. Duncan wyszarpnął swoje palce w ostatnim momencie.

Duncan spróbował zbyć to śmiechem.

- Nic z tego, chłopie. Przez to wpakowałeś się w kłopoty. Ben musi zatrzymać cię na dziesięć dni, ponieważ nie mamy twojego świadectwa szczepienia na wściekliznę.

- Dlaczego wyjaśniasz to wszystkim zajęcowi? – zapytał Ben.

- On jest bardzo świadomym króliczkiem – wyjaśnił Duncan. – Wszystko rozumie.

Charlie warknął.

- Chyba nie lubi być nazywany *króliczkiem* – zauważył kpiąco Ben. Pochylił się, by zerknąć do klatki. – Hm – wymamrotał przez ramię do Duncana. – Wydaje się, że odpowiada, jakby rozumiał. Myślę, że jest wkurzony na ciebie.

- Na mnie? To nie ja założyłem mu obrozę i zamknąłem go w klatce – bronił się Duncan.

Kiedy Ben spojrzał na Duncana, ich nosy były oddalone od siebie tylko o centymetry.

- Czy jest coś złego w tym, że naprawdę chcę całować cię w tym momencie? – zapytał Duncan.

- Ckliwe sekundy? – spytał Ben.

- Może być ckliwa czwórka, gdybyś chciał.

- A potem co, Duncan? Czterech facetów? Czy to nie narobi bałaganu w czymś potencjalnym z Gibbem?

Duncan się uśmiechnął. Uśmiechnął się szerzej, kiedy wzrok Bena opadł na jego wargi w zamyśleniu.

- Nie. Mamy partnerską umowę. Wy dwaj możecie się oderwać, ale Charlie i ja zawsze mamy ochotę na jakąś łączoną grę. Bez zazdrości i zobowiązań, jakie są między dwiema związanymi osobami. Pomyśl o tym, jak o urozmaiceniu życia, jak o prawdziwych przyjaciółach z korzyściami, podczas gdy masz swojego faceta tylko dla siebie.

- Czy to właśnie ty i Charlie robicie? – zapytał Ben.

Charlie sapnął tak, jakby się zakrztusił. Duncan poznał to, jako niedowierzenie. Będzie musiał wyjaśnić tę część później. Tak jak wyjaśni Charliemu, że prawdopodobnie chce z nim czegoś bardziej osobistego.

- Tak jak ja i Charlie – Duncan niemal udławił się tymi słowami, chcąc by były prawdziwe i zastanawiając się jak Charlie podejmie tę dyskusję. Chociaż, nie było niczego podobnego do namawiania Charliego. Duncan uśmiechnął się i zaczął wyjaśniać. – Nigdy nie ma mnie dość, ale obaj lubimy rozsiewać wkoło miłość.

Duncan zignorował nagłe tupanie w klatce i odgłos pomruku Charliego.

Spojrzenie Duncana nie schodziło z Bena.

- Chciałbym się dowiedzieć jakby to byłoby z tobą.

- Jezu – wymamrotał Ben. – Jesteś dobry.

- Jestem szczery. Nie ma dość czasu w tym życiu, by pożądanie tłumaczyć nieporadnością. – Gdyby tylko Duncan mógł być tak prostolinijny z Charliem.

Duncan podniósł brodę, by zmniejszyć odległość, jaka dzieliła ich usta od dotknięcia się.

Ben odsunął się.

- To nie jest uczciwe w stosunku do Gibbsa.

- Gibbs pokazał już swoje roszczenie całkiem zwięźle. Ja tylko - błogosławię to odrobiną zabawy.

- Rozumiem. Myślisz, że Charlie pomyślałby o tym w ten sam sposób?

- Wiem, że tak. – Duncan wzruszył ramionami, patrząc w górę na Bena, który zdecydował, że pozycja stojąca jest lepszym wyjściem. – Charlie i ja rozumiemy otwarty związek. Ty też zrozumiesz, jeśli zaczniesz spotykać się z Gibbem.

Duncan przez minutę utrzymywał kontakt wzrokowy z Charliem. Miał nadzieję, że Charlie rozumie, iż nie mają zamiaru go zostawić.

- Może powinienem mu powiedzieć – szepnął Charliemu.

Odpowiedzią Charliego było podniesienie tylnej kończyny i podrapanie obroży.

- Wiem, kolego. Pracuję nad tym. Następny razem, nie gryźć miłego urzędnika Departamentu, okej?

Charlie obrócił się i wystawił na Duncana ogon.

- Miło. Prawdziwą klasę mi tu pokazałeś. Powiem ci coś, złapię twój tyłek i pocałuję go później - po tym jak ładnie poprosisz.

- Nawet nie chcę wiedzieć – wymamrotał Ben.

Twarz Duncana zapłonęła ogniem i szybko wstał na nogi.

- On lubi jak mówi mu się sprośności. To sprawia, że czuje się chciany.

- Przystaniesz w końcu gadać pierdoły? – zapytał Ben cierpliwie.

- Jakie pierdoły?

Ben westchnął, przecierając ręką twarz.

- Chyba zdajesz sobie sprawę jak ta cała sprawa jest niedorzeczna, prawda? Te wszystkie rzeczy, o jakich ty i Gibbs mówicie - po prostu się nie zdarzą.

- To tylko połowa tego – powiedział Duncan pod nosem.

- Co masz na myśli? To znaczy, że jest coś więcej niż niezarejestrowany i biegający na wolności zajac, poczwórne orgie seksualne, przypadkowe wizyty w mojej chacie i nagłe uważanie mnie za pociągającego, a przetrzymywanie twojego zajaca nie ma z tym wszystkim nic wspólnego? Za jakiego idiotę ty mnie bierzesz?

- Nie uwierzyłybyś mi, gdybym spróbował ci wytłumaczyć.

- Tak, a wszystko to trąci prawdą? – Ben obrócił się i ruszył do drzwi łazienki. – Niewiarygodne. Cóż, muszę ci to przyznać. Idziecie na całość, gdy czegoś chcecie. Powiedz Gibbsovi, żeby jutro nie przychodził. Zatrzymam zajaca na wymagane dziesięć dni. Idź do domu i... – machnął ręką w powietrzu. – Uprawiajcie ze sobą seks. Będzie mniejszy dramat w trójkę niż w czwórkę.

Ben gwałtownie wyłączył światło.

Duncan wyszedł za nim.

- To nie tak.

- Jasne, że tak.

Duncan złapał go za ramię, zmuszając do obrócenia się.

- Nie.

-To wyjaśnij mi to. W normalny ludzki sposób.

- Gibbs, Charlie i ja jesteśmy związani swego rodzaju partnerską umową. Trudno to wyjaśnić, ale to jest coś więcej niż przyjaźń. Dzielimy jedyny w swoim rodzaju związek. To dlatego mieszkamy razem.

- Słucham – odparł Ben, zakładając ramiona na piersi. Regularna pozycja, jaką przyjmuje, gdy rozmawia z Duncanem, jak się wydaje.

- Co jakiś czas, pojawia się ktoś, kto sprawia, że wart podjęcia jest ryzyka.

- Teraz powinienem poczuć się zaszczycony? Widzę, dokąd zmierzasz, Duncan. To nadzwyczaj wygodne jak to wszystko się układa, kiedy zdarzyło mi się zamknąć twojego zajaca w klatce, a ty chcesz go z powrotem. Nie sądzisz?

- Ludzie spotykają się cały czas. Tu nie chodzi o wygodę. Chodzi o zobaczenie, co jest tuż przed twoimi oczami i złapanie tego zanim będzie za późno – argumentował Duncan. Boże, lepiej, żeby nie spieprzył tego dla Gibbsa.

- Mh hm.

- Złapałeś nasze zwierzątko. Chcemy je z powrotem. Muszę przyznać, że Gibbs i ja mieliśmy nadzieję porozmawiać z tobą, żebyś nam je oddał. – Kiedy Ben posłał mu pełne oczekiwania spojrzenie, Duncan się przyznał. – Okej, poszliśmy najpierw do biura Departamentu. Zamknąłeś drzwi na klucz. Popatrzyliśmy przez okna, ale go nie zobaczyliśmy.

- Zamierzaliście się włamać – dokończył beznamiętnie Ben.

- Zamierzaliśmy spróbować.

- To jest nielegalne. Powinienem w tej chwili wezwać gliny i złożyć na was skargę za próbę włamania.

- Ale nie zrobisz tego – powiedział z nadzieją Duncan.

- A dlaczego nie?

- To mógł być impuls do przyjscia tutaj, ale nie to zobaczyłem na twarzy Gibbsa. I nie to zobaczyłeś również ty, kiedy odszedł wkurzony, ponieważ poprosiłem go, żeby cię zostawił.

- Szukałeś zajaca, gdy poszedłeś do łazienki, prawda? – naskoczył na niego Ben, zmieniając temat.

- Tak.

- Wiedziałem i dlatego to zabrało ci tyle czasu. Miałem dla ciebie więcej szacunku wtedy, gdy myślałem, że wrobiłeś mnie w uwiedzenie przez twojego współlokatora. Ale sprzeniewierzyłeś to wrażenie, kiedy wyszedłeś i zasugerowałeś czworokąt.

- Dlaczego? Ponieważ nie możesz uwierzyć, że perspektywa seksu z tobą nie kręci mnie? – zaprotestował głośno Duncan. – Że Gibbs cię nie pragnie, w szczególności?

- Przyszło mi to do głowy – odparł Ben.

Duncan pociągnął za nadgarstek Bena, uwalniając jego ramię. Przyciągnął dłoń Bena do twardego penisa Duncana.

- Wciąż tak myślisz?

Wyraz twarzy Bena zmienił się nagle z zadowolonego na wkurzony. Popchnął Duncana na ścianę, wciąż przykrywając jego powiększonego penisa.

- Gówny prawda. Wszystko. Chcesz z powrotem swoje zwierzę. Jesteś jak jęczące dziecko, by go odzyskać. Sądząc z tego – powiedział, ściskając delikatnie penisa Duncana. – Powiedziałbym także, że wchodzi tu w grę trochę zazdrości.

- Zazdrość? To śmieszne.

- Naprawdę? Rok temu na Festiwalu Wiosny pocałowałem cię. Myślałem, że naprawdę wszystko schrzaniłem. Facet, taki jak ty, był nie dla mnie, nie mówiąc o innych facetach. Okazało się, że byłem w błędzie. Wiesz, w czym jeszcze się pomyliłem?

- Nie – warknął Duncan, próbując nie myśleć o nacisku na swoim penisie, ani o tym, że Ben z roztargnieniem pocierał jego erekcję, podczas gdy praktycznie krzyczał w twarz Duncana.

- Myliłem się, kiedy myślałem, że jesteś w moim typie. Nigdy nie zgadłbym, że to Gibbs, tak naprawdę mnie rozpala.

- Teraz ja mówię, że to bzdury – wyszeptał uwodzicielsko Duncan.

Duncan złapał Bena i przyciągnął go mocno do swojego ciała. Subtelnym ruchem bioder, uwięził rękę Bena między nimi, co bez żadnych wątpliwości utwierdziło Duncana w przekonaniu o zainteresowaniu Bena.

- Powiedziałbym, że też zwiększam twoje obroty. W czwórce, to jest atut – powiedział uśmiechając się do Bena.

Ben wyrwał uwięzioną rękę i oparł ją o ścianę przy głowie Duncana. Najwyraźniej, Duncan pozostawił go oniemiałym, ponieważ słowa przeszły na korzyść szybkich, gorących oddechów.

Duncan spróbował go pocałować, ale Ben trzymał się poza jego zasięgiem. Ich ciała walczyły ze sobą o oddech. Pierś Duncana wypinała się przy wdechu, a Bena kurczyła przy wydechu, dając mu miejsce. Duncan spróbował jeszcze raz, drażniąco kłapiąc zębami tuż przy wargach Bena. Ben nie wzdrygnął się, a zęby Duncana otarły się z szeptem o ust Bena.

- Nadal nie dostaniesz swojego zwierzątka – zamruczał Ben.

- A możesz chociaż wypuścić go z klatki i zdjąć obrozę jutrzejszej nocy? Tylko na jedną noc, by poskakał sobie wolno w twojej łazience. Zapłacę za tę cholerną obrozę radiową.

Wzrok Bena wędrował między oczami Duncana. Brwi Bena zmarszczyły się nieznacznie ze zmieszaniem. Wolno kiwnął głową.

- Obiecuję pomyśleć o tym.

Duncan rzucił okiem na korytarz prowadzący do pokoju Bena, myśląc o Charliem uwięzionym w klatce na noc i ryzyku zostawienia mu obrozy aż do ostatniej minuty. Gdyby to był Duncan, bałby się jak cholera.

Ben musiał źle zrozumieć kierunek jego myśli.

- Nie wezmę cię dzisiaj do łóżka, Duncan.

Duncan zdecydował, że pozwoli sędzić Benowi to, co myślał.

- Dziś wieczorem nie, ale jutro tak, prawda? Z Gibbsem i, przy odrobinie szczęścia, z Charliem.

Ben otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak tego nie zrobił.

Duncan poruszył biodrami. Tym razem, kiedy się pochylił, dostał pocałunek, który chciał.

- Powiedz tak – nalegał Duncan, gdy ich wargi się rozdzieliły.

- To szaleństwo.

- Powiedz tak – powtórzył Duncan. *Proszę powiedz tak. Cholera nie skrzywdź Gibbisa.*

Obrócił Bena, więc teraz to jego plecy przyciskały się do ściany zamiast Duncana. I wtedy rzucił się zgłodniały na usta Bena. Zassał dolną wargę Bena, uszczypnął swoimi zębami, a potem ułagodził szybkim pociągnięciem języka. Duncan oparł się ciężko o pierś Bena, rozmyślnie utrudniając mu zdolność swobodnego oddychania.

Ben podrapał plecy Duncana i otworzył szerzej usta, walcząc z językiem Duncana o dominację.

Duncan odpuścił trochę.

- Powiedz tak, Ben. – Pochylił się na prawo, wyciskając otwartymi ustami pocałunki w miejscu, gdzie szyja Bena stykała się z jego barkiem. – Powiedz tak.

Ben wypuścił drżący oddech.

- Tak.

- Dobry chłopiec – zamruczał Duncan. Uniósł się, uśmiechając się na widok oszłomionej twarzy Bena. Tak, Ben mógł sobie protestować, ale z pewnością podobała mu się uwaga, jaką dostał dzisiaj wieczoru. Gibbs dobrze wybrał. Ben będzie pasował doskonale.

- W takim razie, widzimy się jutro.

Rozdział 8

Gibbs poczekał, dopóki Duncan nie odjechał. W swoim typowym stylu, Duncan ruszył gwałtownie z podjazdu nie oglądając się za siebie. Bez wątpienia przypuszczał, że Gibbs poleciał do domu, by tam na niego czekać. Pójdzie. Później. Ale po tym jak zobaczył ten pocałunek, którym Duncan obdarował Bena i reakcji Bena, Gibbsa dosłownie zamurowało, więc stał nieruchomo i pozwolił się temu dzieć. Odejsćie nie było żadną opcją. Bo najpierw musiał wyjaśnić kilka rzeczy.

Ben podszedł do schodów na ganku, ręce oparł na biodrach, i wpatrywał się w stronę, gdzie zniknął Duncan. Podniósł twarz do drzew. Gibbs wziął to za dobry znak. Że pocałunek Duncana został już zapomniany, a on rozgląda się za sową Gibbsem.

Gibbs nie potrafił określić swoich dokładnych uczuć. Były czymś pomiędzy czystą paniką na wizję utraty tej odrobiny postępu, jaki zrobił z Benem, i rozpaczą, by dokładnie powiedzieć Benowi, jak bardzo Gibbs go pragnie.

Nie, jako jednego z czwórki, chociaż z pewnością to rzeczywistość podawała Gibbsowi obecny układ, ale jako partnera Gibbsa bez żadnego układu. *Jego*.

Gibbs wyszedł spomiędzy drzew prosto na polanę, gdzie stała chata Bena. Napotkał zaskoczone spojrzenie Bena i przytrzymał je, kiedy Gibbs nadal zbliżał się do ganku z jasno określonym celem, wszedł po schodach, przytknął ręce do torsu Bena i popchnął go w stronę domu.

Serce Gibbsa waliło, ale Bena jeszcze szybciej. Mógł wyczuć to pod swoją dłonią.

- Gibbs? Myślałem, że ty...

Nie dał Benowi czasu na dokończenie zdania. Ciało Gibbsa przyparło Bena do ściany i, w swojej własnej zrozpaczonej potrzebie, by powiedzieć Benowi, co dokładnie czuje, Gibbs pocałował go gwałtownie. Poczul, jak również usłyszał, stłumione zaskoczenie Bena. Przykrył dłońmi twarz Bena i przechylił ją, by uzyskać lepszy dostęp.

Ben bez protestu dał przechylić sobie głowę, więc Gibbs przejął pełną kontrolę nad tym milczącym pozwoleniem. Ben chwycił się kurczowo koszulki Gibbsa. Gibbs nie

chciał tylko pocałunku, więc im prędzej mu to uzmysłowi, tym lepiej dla nich. Chciał całego Bena i chciał go mieć, jako pierwszy.

Skończywszy pocałunek, Gibbs został w przestrzeni Bena. Wziął nadgarstki Bena i podniósł je nad jego głowę, przytrzymując je w miejscu jedną ręką. Drugą łagodnie oparł na piersi Bena, dając mu chwilę na protest.

Ben oblizwał swoje wargi. Jego spojrzenie przesunęło się z oczu Gibbsa na jego usta i z powrotem. Cisza, wypełniona ich ciężkimi oddechami, zaległa między nimi.

W końcu Gibbs opuścił rękę w dół. Obserwował każdą zmianę myśli i emocji oczu Bena, jakby opowiadały historię podobną do tej, której Gibbs nie potrafił powiedzieć głośno.

Ja też cię chcę.

Dotknij mnie więcej.

Kochaj się ze mną.

Gibbs modlił się, by odczytać go prawidłowo. To niewielkie rozszerzenie oczu Bena, rozdęcie nozdrzy, sposób, w jaki jego broda przechyliła się do góry, chociaż nieznacznie, kiedy Gibbs sięgnął do paska spodni Bena. Ben mógł odsunąć się w każdej chwili. Gibbs trzymał jego ręce w górze, ale Ben był na tyle silny, że mógł z łatwością się uwolnić. I brak możliwości wypowiedzenia słów. Mógł powiedzieć Gibbsowi, by przestał, ale tego nie robił.

Gibbs uniósł brew, zapytując w ten sposób Bena, czy to jest mile widziane. Kiedy czubek języka Bena przesunął się po jego dolnej wardze, Gibbs rozpiął spodnie Bena.

- Ruszaj się trochę szybciej – wydyszał Ben.

Zwykle, Gibbs by zwolnił, albo zapytał czy potrzebuje więcej czasu. Dziś wieczorem, Gibbs nie pytał. Będzie brał, dopóki Ben mu pozwoli. A biorąc pod uwagę fakt, że go nie zatrzymywał, Gibbs uznał, że to było pozwolenie, którego potrzebował.

- Byłoby szybciej, gdybyśmy już nie poszli tą ścieżką – przypomniał mu Gibbs.

Ben kiwnął głową.

- W lesie. W zeszłym roku. To byłeś ty.

- Nazwałeś mnie Duncanem. Może chcesz Duncana w sobie.

Konflikt przemknął po twarzy Bena.

- Możesz go pragnąć. Do diabła, ja też. Ale tym razem, jesteś mój. Chcę, żebyś pamiętał, że to *ja*. Chcę, żebyś pragnął *mojego* wytrysku.

- Zapamiętam. – Słowa Bena ugrzęzły w gardle, gdy Gibbs sięgnął do środka spodni Bena. Chwycił grubego, ciepłego fiuta Bena.

- Powiedz to – prowokował Gibbs.

- Gibbs.

- Kogo chcesz, żeby wypieprzył twój tyłek dziś wieczorem? – Gibbs pogłaskał go długo i powoli.

Ben wysapał.

- Ciebie.

- I kim jestem?

- Jesteś Gibbs.

- Nie zapomnij o tym – powiedział łagodnie Gibbs.

Oczy Bena zamglily się, kiedy Gibbs kontynuował głaskanie.

- Dziś wieczorem, jesteś mój. – Gibbs trącił nosem szyję Bena, uszczypnął ją swoimi zębami, potem ułagodził to miejscem językiem i wargami. – Tylko mój – zamruczał.

Ben westchnął. Gibbs miał wrażenie, że Ben oddaje mu się cały. To było uderzające do głowy doświadczenie. Gibbs osunął się na kolana, szybko rozprawiając się ze spodniami Bena.

- Unieś je z powrotem w górę – nakazał Gibbs, gdy Ben opuścił ramiona.

Natychmiast Ben wyciągnął je nad głowę. Spojrzał nerwowo w dół na Gibbsa. Gibbs napotkał jego spojrzenie, a potem ściągnął spodnie Bena aż do jego kostek. Podciągnął koszulkę Bena do góry, pragnąc poczuć jego nagą skórę, zobaczyć unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej, jakby jego ciało domagało się tlen.

Fiut Bena śmiało wystawał z przyciętego gniazodka włosów u podstawy. Jego jądra zwisały ciężko, kusząc Gibbsa by je dotknął i pogłaskał. Najpierw jednak, Gibbs

popatrzył na niego, obejmując spojrzeniem całe męskie piękno Bena. Co może być piękniejszego niż twardy fiut, z kropelką przedwytrysku – *dla Gibbsa?*

- I o to chodzi, nie możesz udawać, że jestem Duncan, gdy włączone są wszystkie światła.

- Niczego nie udaję – odparł Ben. – To nie na Duncana patrzę.

Jego uczciwe wyznanie wywołało u Gibbsa uśmiech. Wydawali się nadawać na tych samych falach. Doskonale. Gibbs trzymał kontakt wzrokowy, kiedy otworzył usta i powoli wciągnął fiuta Bena. Ben syknął. Jego biodra wychyliły się w stronę Gibbsa, wysuwając swojego fiuta jeszcze bardziej do przodu.

Gibbs wziął go głęboko, delektując się każdym centymetrem, czując jak pociera o jego wargi, przez twarde podniebienie, aż uderza o miękką skórę za nim. Językiem dotykał spodniej żyły, a za każdym wycofaniem, Gibbs drażnił czubek, docierając do małego otworu.

Wiedział, że ma pełną uwagę Bena, kiedy Ben ponownie opuścił ramiona i zacisnął ręce we włosach Gibbsa. Ben pomagał, poruszając Gibbsem w tę i z powrotem. Kiedy zaczęły pracować jego biodra, Gibbs zamruczał z aprobatą.

Odpowiedzią Bena był jęk, wolno wrywający się z jego gardła, pełen udręczonej przyjemności. Nadszedł czas, zdecydował Gibbs. Złapał tyłek Bena i zassał mocniej, połykając długość Bena. Ben napiął się, stęzał i wystrzelił do gardła Gibbsa.

Po wylizaniu go, Gibbs wyciągnął prezerwatywę i tubkę nawilżacza z kieszeni. Wstał, złapał sflaczałego fiuta Bena i pociągnął go do balustrady ganku.

- Przechyl się – rozkazał.

Ben zamrugał, ale zrobił to, co mu kazał. Spojrzał przez ramię, podczas gdy Gibbs uwolnił swojego kutasa i nałożył prezerwatywę.

- Teraz ja powinienem ci obciągnąć – nalegał Ben.

Gibbs potrząsnął głową, jego palce już zajmowały się dziurką Bena.

- Zapamiętasz mnie po tym dzisiejszym wieczorze.

- Jak mógłbym cię zapomnieć?

- Zdarzyło się to wcześniej – odparł Gibbs rzeczowo.

- Było ciemno. Myślałem, że jesteś Duncan, ponieważ wcześniej mnie pocałował.

- Ale nie byłem. Byłem tylko facetem, którego masturbowałaś pod imieniem innego mężczyzny.

- Wolałbym ciebie, gdybym wiedział.

Gibbs przycisnął czubek swojego nabrzmiałego kutasa do odbytu Bena.

- Chcesz mnie teraz?

- Tak – wysyczał Ben.

Otworzył Bena, wsuwając tylko samą główkę, i wycofał się.

- Chcesz Duncana?

- Nie w tej chwili.

- Dobra odpowiedź – mruknął Gibbs.

Gibbs pchnął, dopóki rozszerzona główka nie zanurzyła się w dziurce. Zamknął oczy, drżąc na odczucie gorąca ciała Bena. Mięśnie jego odbytu skurczyły się, zaciskając się na kutasie Gibbsa.

Ben wydyszał.

- Więcej. Szybciej.

Gibbs rozmyślnie panował nad sobą.

- Będzie dużo więcej.

- Proszę – wysapał.

Gibbs wycofał się, zanim całkowicie wypełni Bena, a potem pchnął jeszcze raz, zatapiając swojego kutasa w tyłku Bena, głęboko aż po jądra. Ben krzyknął, wydając dźwięk gdzieś między bólem, a przyjemnością. Gibbs znieruchomiał, czując, jakby to sam Ben mu to powiedział.

Gibbs stężał, wstrzymując swój orgazm, ale to było trudne, kiedy ciało Bena otulało jego długość, a mężczyzna szeptał zachęcająco, by go wziął i to wziął mocno. Też chciał go pieprzyć, ale nie chciał, żeby moment spełnienia przyszedł zbyt szybko.

Jak tylko się uspokoił, Gibbs zaczął się poruszać. Kołysał biodrami w każdym wchodzącym pchnięciu, uderzając mocno we wnętrze ciała Bena dla każdej uncji

przyjemności. Balustrada trzeszczała, kiedy Gibbs brał jego tyłek, modląc się, by ten akt w jakiś sposób wywarł wrażenie na sercu Bena.

Gibbs tego chciał. Nawet, gdy uprawiał seks z Duncanem i Charliem, Ben nigdy nie opuszczał jego myśli. Miał nadzieję, że otwarcie tego kręgu dla Bena, nie będzie oznaczać, że Ben zakocha się w jednym z nich.

Gibbs odrzucił do tyłu głowę, zanurzając się w swojej tęsknocie, tak jak zanurzał się w ciele Bena. Z ostatnim pchnięciem wyobraził sobie, że Ben uśmiecha się do niego, unosi się na palcach stóp dla pocałunku, a Gibbsa traci swoją kontrolę. Orgazm ukradł mu oddech i wywołał szorstki radosny krzyk, gdy trysnął w mężczyznę, którego kochał.

Też mnie Kochaj.

Gibbs wysunął się z jego ciała, zdjął prezerwatywę i odsunął się.

Ben odwrócił się i zawinął ramiona wokół pasa Gibbsa. Uniósł twarz i przycisnął do szyi Gibbsa.

Gibbs uśmiechnął się głupkowato.

- Twój tyłek jest nagi.

- Tak, i co? Trochę to śmieszne, że martwisz się o mój nagi tyłek, kiedy dosłownie przed chwilą wypieprzyłeś mnie na frontowym ganku.

Gibbs przytulił go, czerpiąc przyjemność z bliskości Bena.

- Dobrze by było, żeby to nie był ostatni raz, Gibbs.

- Tak? – Jego uśmiech powiększył się z nadzieją.

- Tak.

- A co będzie, gdy wszyscy się umówimy? – zapytał Gibbs, przypisując ton głosu obawom, które miał.

Ben wzruszył ramionami.

- W takim razie będziemy się pieprzyć, cieszyć się tym, a potem pójdziemy na własną sesyjke.

- Jak para? – naciskał Gibbs.

Ben popatrzył na niego, obserwując go przez chwilę.

- Tak. Lubię seks jak każdy facet, ale spotykam się tylko z jednym w tym samym czasie.

Gibbs został uderzony tymi słowami. Zamiast spróbować je odeprzeć, pocałował Bena, muskając delikatnie jego wargi, mając nadzieję, że to, co sobie powiedzieli, mu się nie przesyłało. Ben uniósł się, wzmacniając uścisk. Skończył pocałunek po minucie.

- Poprosiłbym cię, byś został na noc, ale dyżuruję pod telefonem.

Gibbs kiwnął głową.

- Okej, tym razem. Ale jutro się nie wykręcisz.

Ben uśmiechnął się ciepło.

- Spróbuj mnie powstrzymać.

Rozdział 9

- Co ja do diabła sobie myślałem?

Ben jęknął chyba po raz setny tego ranka. Opuścił głowę na złożone na biurku ramiona. Z kolejnym dźwiękiem samo niezadowolenia, przekręcił głowę na bok, zerkając na zegar biurowy. Wciąż była dziesiąta.

Ben podszedł do szafki na dokumenty. Może powinien dzisiaj pójść na dwór, zamiast zajmować się papierkową robotą, której wymagała centrala.

- Nie przyspieszysz roboty, tylko się w nią wpatrując – powiedział jakiś głos.

Ben okręcił się z szeroko otwartymi oczami. Nie słyszał, żeby ktoś wszedł. Ale nawet po tym, jak przeszukał wzrokiem cały pokój, nie zobaczył źródła głosu. Był tylko zając obgryzający marchew w swojej klatce, która stała przy krawędzi masywnego biurka Bena. Wyglądał na nieco zainteresowanego nagłym zamętem Bena.

- Kto to powiedział? – wypalił Ben.

- Ja.

Ben popatrzył na zająca. Mógłby przysiąc, że usta zwierzęcia się poruszyły. *To tylko marchewka, którą żuje, sprawiła, że tak to wyglądało.*

Ben zrobił obchód po niewielkim pokoju biura.

- Gdzie jesteś?

- Na biurku, tam gdzie mnie zostawiłeś. Nie cierpię granulek. Mogę dostać więcej marchewki? Albo jeszcze lepiej, kanapkę z pieczoną wołowiną?

Oczy Bena wyszły na wierzch. Przesunął się w stronę biurka i klatki. Przypływ adrenaliny sprawił, że wybuchł nagle śmiechem, ponieważ zdał sobie sprawę, co prawdopodobnie się stało.

- Świetnie, Duncan. Świetny trik – krzyknął w stronę biura. – Co zrobiłeś? Włożyłeś mikrofon do klatki? Nadajesz przez częstotliwość radiową obroży?

- To niemożliwe. Ona wysłała tylko sygnał radiowy – kpił głos.

- Nie brzmisz jak Duncan – zdumiał się Ben.

Pochylił się nisko do klatki, chcąc zbadać to bliżej. Zając niezgrabnie się odwrócił, przyglądając się Benowi swoimi oczami.

- Ponieważ to głos Charliego.

- Jedyne, który się nie pokazał i nie próbował uwieść mnie wczoraj wieczorem – dokończył Ben.

- Mogę być zwierzęciem podczas seksu, ale *nigdy* nie jestem *zwierzęciem* w trakcie seksu. To jest po prostu chore.

Spojrzenie Bena w końcu skupiło się na zającu, zauważając drganie nosa i to, jak jeden kącik futrzastego pyszczka zakręca się do góry w... uśmiech? Namacał ręką oparcie swojego obrotowego krzesła, złapał je i przyciągnął. Ben ciężko usiadł. Krzesło zaskrzypiało niebezpiecznie.

- Charlie? – zapytał, czując się głupio i będąc oszołomiony.

- To właśnie ci mówię. – Usta zająca poruszały się wraz ze słowami, bez żadnej marchewki. Zrobił mały skok w stronę ściany klatki, wpychając swój wiecznie poruszający się różowy nos między druciane pręty. A potem zając puścił oko.

- Jasna cholera! – Ben odepchnął się mocno stopami. Krzesło popędziło do tyłu, tocząc się po podłodze, dopóki nie uderzyło w szafkę na dokumenty i nagle się zatrzymało.

- Spokojnie. Nie powiedziałbym ci tego w ten sposób, ale nie dałeś mi innego wyboru. Założyłeś obrozę radiową wokół mojej szyi, wsadziłeś mnie do małej klatki i żywisz mnie kartonowymi, aromatyzowanymi trocinami, sporadycznie dając marchewkę. No, chłopie, jesteś nic nie wartym gospodarzem.

Ben zamrugał. Rzucił okiem na ekspres do kawy zastanawiając się, czy jego zawartość nie została czymś naszpikowana. Powoli – no cóż, nie wiedział, czemu starał się zapobiec, widząc jak zwierzę się w niego wpatruje – sięgnął po telefon.

- Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? Jeśli powiesz komukolwiek, już nigdy się do ciebie nie odezwę. A oni pomyślą, że zwariowałeś – ostrzegł zając.

- Zamierzałem dzwonić do Gibbsa albo Duncana.

- I powiedzieć im, że ich zając gada? – Charlie prychnął. – Jesteś pewny, że nie chcesz poznać reszty historii?

- Jakiej historii? – zapytał Ben, wciąż kwestionując swoje zdrowie psychiczne. – Mówi do mnie zwierzę. Nadal nie jestem przekonany, czy się już obudziłem. Może zasnąłem na moim biurku i po prostu to mi się śni.

- Musisz mnie stąd wypuścić – powiedział do niego Charlie.

- Teraz już wiem, że śnię. Wszyscy nie możecie mówić mi tego samego.

- Musisz zdjąć mi tę obrożę. Obiecuję, że będziesz mógł za mną chodzić. Do diabła, mogę nawet z detalami podać ci listę moich zwyczajów i ulubionych terenów do biegania. Wyglądasz mi na pieprzonego geniusza od papierków.

Ben nie mógł już szerzej otworzyć swoich oczu. Próbował jakoś pojąć, że gdyby mógł, może informacje, które usłyszał, wchłonąłby, lepiej zrozumiał albo po prostu zaraz się obudzi. Ale nie.

- Zbyt ciężko pracowałem. Chyba oszalałem, ot co.

Charlie westchnął, wprawiając swoje wąsy w silne drżenia.

- Już o tym mówiliśmy. Jeśli jestem tym, kim twierdzą, że jestem, czyli Charlim w postaci zająca, co by dla mnie znaczyło to, gdybym chciał wrócić do mojej ludzkiej postaci, że mam twoją obrożę wokół mojej szyi?

Ben wyobraził to sobie, zgadzając się z tym.

- Udusił byś się.

- Bingo.

- Więc, Duncan i Gibbs wiedzą o tej rzeczy, że się zmieniasz? – zapytał Ben. – Jezu, to dlatego rozmawiali z tobą wczoraj wieczorem o twojej sytuacji.

Może nie tylko on był szalony. Słyszał o myśliwym, który zgubił się w lesie na tak długo, że wpadł w histerię. Kiedy go znaleźli, wierzył, że został uprowadzony przez obcych, a potem wrócił z powrotem z umiejętnością komunikowania się z wilkami.

Boże, pracowałem sam w tym biurze tak długo, że stałem się taki, jak ten facet?

- Okej, idźmy dalej.

- Czekaj. Będę musiał usiąść, prawda? – zapytał Ben zająca.

- Już siedzisz.

- Powinienem wstać i ponownie usiąść, albo coś takiego. Tak, żebym znalazł się w odpowiednim nastroju. – Ben wiedział, że to nie ma sensu, ale nic nie miało sensu w tej sytuacji. Chwytał się więc wszelkich sposobów. Wszystkiego, co sprawiłoby, że gadający zając wyda się prawdziwy. Zwłaszcza taki gadający zając, który wydawał się przygotowywać go na złe wieści.

Ben chwycił się poręczy swojego krzesła. Nie zbliżył się do biurka, tylko wolał trzymać się od klatki najdalej jak to możliwe.

- Okej, co jeszcze? – zapytał Ben.

Charlie wyciągnął się przy ścianie klatki, ukazując swoje białe podbrzusze. Obrócił głowę w bok, spoglądając na Bena jednym poważnym brązowym okiem, otoczonym długimi czarnymi rzęsami. Jego nos drgał w wolnym, stałym tempie.

Charlie patrzył na niego. Jego małe pazury w przednich łapach wyglądały przez drucianą kratkę klatki.

- Oni też się zmieniają.

A potem Charlie się uśmiechnął.

I wtedy Ben uwierzył, że to wszystko jest prawdą. Nienaturalne połączenie uśmiechu, pokazującego wszystkie zęby, i mrugnięcia oka, coś, co widział jak ludzki Charlie robił, i głos krystalizujący się w jego umyśle.

To nie miało sensu.

To było niemożliwe.

Fantastyka naukowa, żywa i mająca się nieźle we Fletcher, w Michigan.

To niemożliwe, właśnie uśmiechało się do niego tym samym szelmowskim, psotnym, dziwacznie charakterystycznym uśmiechem mężczyzny.

- O, Boże – na wpół wymamrotał, na wpół jęknął Ben.

- Ach, widzę, że zaczyna do ciebie dochodzić. To dobrze. Dam ci jeszcze parę minut, a potem jeszcze raz poproszę cię, byś zdjął obrożę. Jeśli będę miał obrożę podczas pełni, nigdy już nie będę prawdziwym chłopcem, Geppetto.

Teraz Ben podjechał bliżej, by zająrzeć do klatki. Pochylił się, by spojrzeć Charliemu w oczy i zobaczyć to, z czym jego umysł wciąż miał kłopot pojąć, pomimo samo nasuwających się wniosków, że to niemożliwe właśnie się zdarza. Charlie był zajęcem.

Przynajmniej w tej chwili.

Umysł Bena ścigał się z informacjami. Niezdolny do sklasyfikowania tego bez inspirującej migreny, musiał przyswoić sobie następną bombę, jaką Charlie puścił. Że Duncan i Gibbs też są zmiennymi. Jednak nie mógł wyobrazić sobie mężczyzn, jako zajęcy.

Nagle przypomniał sobie sowę nurkującą w dół, gdy Ben złapał Charliego w lesie. Sowę, która odwiedzała Bena wiele razy wcześniej, która nigdy nie zanurkowała na jego głowę. Szczególnie w biały dzień. Tak naprawdę sowa, która odwiedzała go czasami nocami, wyglądała na łagodną i po prostu tak go ciekawą, jak był Ben w stosunku do niej.

Poprzednia noc zabłysła mu w głowie. Złote spojrzenie oczu Gibbsa, kiedy siedział z nim na huśtawce i miękkie włosy. Gibbs przyznał się, że obserwował Bena.

- Gibbs jest puchaczem wirginijskim – powiedział, bojąc się wymówić te słowa głośno.

- Hej! Chwytasz to – wykrzyknął radośnie Charlie. – Okej, idźmy va banque. Czym jest Duncan?

Było tam obecne tylko jedno zwierzę, wysuwające głowę z zarośli tak jak sowa – Gibbs – i Charlie. Umysł Bena wzdragał się jednak przed tym. Mimo to, częsty staroświecki pogląd, jaki miał ten mężczyzna i sposób, jakby jego gesty były rozmyślnie zrównoważone, kłóciły się z jakimkolwiek innym zwierzęciem.

Brwi Bena uniosły się trochę, bardziej z rozczarowaniem niż akceptacją.

- Żółwiem.

- Ding, ding, ding, ding, ding!

- Całowałem się z sową i żółwiem? – zapytał tępo Ben.

- Co zrobiłeś?

Ben skupił się na zaskoczonym oku Charliego, mrugając gwałtownie.

- Pocałowałem ich.

- W zwierzęcej postaci? To chore – oznajmił Charlie, jego różowy nos zmarszczył się ze wstrętem.

- Nie, nie, jako zwierzęta.

- Więc w czym problem? – zapytał Charlie. Jedno jego ucho klapnęło. – Nie rozumiem.

-No więc, oni są tylko jak pół ludzie. – *Dlaczego znowu tłumaczy się przed zającem?*

- Nie – ciągnął cierpliwie Charlie. – Oni są w pełni ludźmi tylko mają taki mały super dodatek.

Ben prychnął.

- Mały super dodatek.

- Więc, wypuścisz mnie już teraz?

Ben zamrugał. Niemal zapomniał o tej prośbie. Pochylił się gwałtownie do przodu, sprawiając tym, że krzesło zapiszczało żałośnie, nerwowo rzucając się do zamka klatki. Nagle znieruchomiał, zwięzając oczy na Charliego.

- Tylko mnie nie ugryź.

- Tylko, jeśli mnie poprosisz – obiecał Charlie, unosząc wysoko łapkę, jakby składał uroczyste przyrzeczenie.

Ben otworzył drzwiczki.

Charlie wyskoczył na zewnątrz. Przechylił głowę na bok, odsłaniając czarny pasek plastiku.

- Proszę?

Ben otworzył szufladę biurka i wyciągnął przyrząd do zdjęcia obroży.

- A co robiliście tam razem? Zawsze mieszkacie, jako paczka niedobrych zwierząt?

Charlie przyjrzał mu się złowrogo.

- Robimy to, co roku, i tak, często spędzamy tak czas. Oszczędź sobie krytyki.

- Co robicie? – Ben schował przyrząd za siebie. – Chcę wiedzieć wszystko.

Charlie westchnął.

- Wyścig.

- Co? – zapytał Ben.

- Wyścig. Gibbs jest sędzią.

Ben milczał przez minutę, a potem się roześmiał.

- Zamknij się – warknął Charlie.

Z oczu Bena kapały łzy, więc otarł je wierzchem dłoni, wyobrażając sobie jak Charlie zając, ściga się z Duncanem zółwiem, podczas gdy Gibbs sowa nadzoruje tę całą mękę.

- Czy to jest jakieś prawo zmiennych, że odgrywacie bajki dla dzieci?

- Poważnie. Zamknij się.

- Nie sądzę, żebyście znali jakieś dziewczynki w szkarłatnej pelerynie, albo zmienne wilki? – mówił dalej Ben. Jezu, po prostu nie mógł się powstrzymać. Dopisze to do niedorzecznych doświadczeń. Histeria nawet może spełniać te warunki.

- Nie jestem coraz młodszy – odparł Charlie, stukając długą tylną łapą.

- No tak, staruszek już z ciebie, co?

- Odczep się już. – Charlie schował nos między przednie łapy i przekrzywił głowę na bok.

Ben wciąż chichocząc, ostrożnie przyłożył przyrząd do obroży i zdjął.

- Wspaniale – pochwalił Charlie. – A teraz, masz jakieś ubranie, czy mam spacerować po twoim biurze nago, dopóki nie dotrą tutaj moi chłopcy?

Śmiech Bena nagle ustał, a umysłowy obraz umięśnionej, szczupłej sylwetki Charliego, nagle się urzeczywistnił – w całej nagości. Co do cholery było z nim nie tak? Ben nigdy nie myślał o sobie, że jest łatwy, ale było coś takiego w tych trzech mężczyznach, że jego libido szalało.

Spodziewał się, że będzie to czuł tylko do Duncana, bo kto by tego nie czuł? Facet był silny, wysoki i obdarzony charyzmą, jednak mimo to, to Gibbs najbardziej zajmował jego myśli. A teraz jeszcze Charlie, bo samo już wyobrażanie go sobie nagiego w biurze, powodowało u Bena pobudzenie erekcji.

Może to były zwierzęce feromony. *Cholerne feromony*. Znacznie łatwiej było je winić niż fakt, że najwyraźniej Ben był napalony na wszystkich trzech mężczyzn. Boże, musiał dać się przelecieć. Ta czwórka wyglądała na coraz lepszy pomysł.

- Ben? Ubranie? – przypomniał Charlie, wyglądając na więcej niż umiarkowanie rozbawionego przedłużającym się milczeniem Bena.

- Racja. – Ben skoczył na nogi i poszedł do pokoju na tyłach. Zawsze trzymał dodatkowe ubranie na wypadek, gdyby coś zdarzyło się w terenie. Wrócił z ubranem i podał je, jakby zając – Charlie – mógł je wziąć.

- Chcesz, żebym zmienił się właśnie tutaj? – zapytał sceptycznie Charlie.

- Chciałbym to zobaczyć. Czuję się trochę oszołomiony w tej chwili. Nie masz nic przeciwko?

- Nie. – Charlie zeskoczył z biurka i ruszył do tylnych drzwi. – Możesz wziąć ubranie i otworzyć mi drzwi?

Ben podążył za zającem, czując się trochę dziwnie, kiedy przytrzymał drzwi, by mógł go minąć. Musiał pamiętać o zniszczeniu raportu z incydentu ugryzienia go przez Charliego. W przeciwnym razie będzie obserwowany bez względu na to, czy szczepienie zostało zgłoszone czy nie i, o rany, trudno będzie o jakieś wyjaśnienie.

Charlie wskoczył do gabinetu zabiegowego. Stał na środku wolnej przestrzeni i obrócił się do Bena. Jego małe futrzaste ciało zaczęło drżeć. Uszy Charliego spłaszczyły się na jego grzbiet i zamknął oczy. Przednie łapy zakręciły się pod spód, prawie spokojnie ułożone, mimo wyraźnych dreszczy wstrząsających jego ciałem.

Jego nos się skrócił, wciągając wąsy i powoli, powoli futro zanikało, dopóki to, co widział Ben zaczęło bardziej wyglądać na nagiego kreta, a nie zająca. Uszy się cofnęły. Zwierzęca postać Charliego zwiększyła się dwukrotnie, potem trzykrotnie, dopóki nie osiągnęła normalnych proporcji dorosłego mężczyzny. W końcu, reszta jego skóry i kości się zmieniła, aż przed Benem pojawił się Charlie, zgarbiony i drżący na gołej podłodze.

Ben przykucnął. Jego ręce drżały, gdy rozpinał dla Charliego koszulę.

Charlie podniósł głowę. Bolesny uśmiech wykrzywił jego wargi.

- Czy to właśnie miałeś nadzieję zobaczyć?

Ben kiwnął głową.

- Zdumiewające.

To również nie pozostawiało wątpliwości, że wszystko, co Ben usłyszał i zobaczył, było dokładnie tym, co Charlie obiecał. A więc na świecie byli zmienni i Ben znał trzech z nich.

Tłumaczenie: panda68

Rozdział 10

Duncan zawołał za Gibbsem, żeby poczekał.

- Dlaczego? – chciał wiedzieć Gibbs.
- Zamierzasz zobaczyć się z Benem, prawda?
- Tak i wydostać Charliego.

- Chcę iść z tobą – oznajmił Duncan, biegnąc za nim, kiedy Gibbs otworzył frontowe drzwi. Duncan jakby mimochodem wzruszył ramionami, ale najwyraźniej Gibbs nie zamierzał porzucić tematu.

- Powiedz to. – Gibbs czekał w kamiennej ciszy.

Uśmiech Duncana urwał się.

- Pieprz się.

- Naprawdę? Bo czy nie o to się starasz? Chcę usłyszeć, jak mówisz, że musisz osobiście sprawdzić stan Charliego.

- Dlaczego miałbym to zrobić? – odparował Duncan. Oparł ręce na biodrach, uparcie odmawiając dania Gibbsowi tego, czego chciał. A tak na poważnie, czy uczucia mężczyzny nie są jego własną sprawą?

Gibbs zawiesił kółko z kluczami na jednym palcu. Zaczął nimi wymachiwać.

- Nigdzie cię nie zabiorę, dopóki nie przyznasz, że martwisz się o Charliego.
- Oczywiście, że martwię się o Charliego. A ty nie?

- Pewnie, ale nie mam palącej potrzeby, by upewnić się, że wszystkie jego części są w porządku – kpił Gibbs.

- One są w porządku – burknął Duncan. – Ale jak zamierzasz wydostać Charliego, skoro nie mogłem chociażby pomóc ci rozproszyć Bena na wystarczająco długi czas, żeby go złapać, ponieważ tak to właśnie wygląda. Złap i weź.

- Jest nielegalne, ale konieczne. Dzisiaj jest pełnia.

Przypomnienie to wcale nie złagodziło niepokoju Duncana. Wypróbowali wszystkie sposoby tego ranka, dzwoniąc wszędzie i pytając, jak uwolnić ich *egzotyczne zwierzątko*, Charliego. Wszystkie inne biura Departamentu powiedziały to samo. Ben ściśle trzymał się przepisów. Na nieszczęście, ta historia skończy się dla Charliego tym, że będzie walczył z pchłami i kleszczami do końca swojego życia.

Duncan nie zamierzał pozwolić, by to się stało.

- Przestań pieprzyć. Nie mamy teraz czasu na takie bzdury.

- Wiem, jest już prawie trzecia i biuro zamyka się za dwie godziny. Tak sobie myślę, że musisz ustawić swoje priorytety zanim odbierzemy Charliego.

- To nie twój interes – warknął Duncan.

- Do diabła, pewnie że nie. Jesteś w nim zakochany i nam wszystkim zdarza się coś spieprzyć. Nie chcę pogłębiać twojego niepokoju w jego obecnej sytuacji niczym innym niż tym, co już jest. Kochasz go.

- Nieważne. – Duncan nie miał ochoty powiedzieć tego głośno. Przynajmniej nie do kogoś, kto nie był Charliem. Zgadzał się, że obecne okoliczności sprawiły, iż ujawniły się jego uczucia do Charliego po jego złapaniu, ale to nie znaczyło, że Gibbs miał usłyszeć to pierwszy.

Gibbs westchnął.

- Świetnie. Chodźmy.

Duży biały samochód zatrzymał się przed Gibbsem i Duncanem. Tylko chwilę zabrało Duncanowi rozpoznanie Bena i... Charliego.

- Słodki Jezusie – odetchnął Duncan.

Jego pierś zatchnęła się oddechem. Jego gardło rozpalilo. Duncan precyzyjnie przycisnął się obok Gibbasa, dobiegając do drzwi od strony pasażera, zanim Charlie wysiadł z samochodu. Duncan złapał go za ramiona.

- Boże, tęskniłem za twoją zakazaną gębą.

- Pieprz się też – powiedział Charlie z uśmiechem.

Obezwładniony, Duncan nie miał żadnych słów dla tego, co czuł. Wpatrywał się głupio w swoje ręce, wciąż ściskające ramiona Charliego, niezdolny do puszczenia go, niezdolny do przyciągnięcia go.

Wargi Charliego się wygięły.

- Chłopie, wyjechałem, na przykład, na noc.

Nagle wybuchł potokiem słów.

- Ty głupi idioto! Gibbs ostrzegł cię o pułapce, a ty i tak skoczyłeś prosto w nią! Masz się słuchać!

Charlie zaczął się śmiać.

- A ty musisz trochę pożyć. Wszystko dobrze się skończyło.

- Dając się złapać i założyć obrożę?

- Spontaniczność, durniu – ton głosu Charliego zmiękł, łagodząc zniewagę. – Jak to.

Charlie zarzucił rękę na szyję Duncana i przyciągnął go bliżej.

- Ja też tęskniłem – wyszeptał zanim ich wargi się spotkały.

Duncanowi zadzwoniło w uszach. Tak, jakby grając w jednym z wielu snów Duncana, Charlie zdobył jego wargi, rozchylił i zaanektował z wyglodniałym jękiem.

Ręce Duncana odzyskały w końcu życie. Jego ramiona zawinęły się wokół niego, przytrzymując, jakby bały się, że pocałunek skończy się zbyt szybko, albo co gorsza, okaże się tylko fantazją, w której wydawało mu się, że Charlie tęsknił za nim bardziej.

Trzymanie go blisko w ramionach sprawiło, że ten moment był błogo rzeczywisty. Szczupłe ciało Charliego dopasowało się do jego, nie pozostawiając ani odrobiny wolnej przestrzeni między nim a Duncanem.

- Myślisz, że są szczęśliwi widząc się nawzajem? – odezwał się Ben.

- Nie masz pojęcia, jak blisko znaleźli się utraty siebie zanim przyznali się do prawdziwych uczuć do siebie – odparł Gibbs.

Duncan obrócił się do nich, walcząc ze łzami, które groziły wybuchem.

Jaki byłem głupi.

Duma powstrzymywała go od wyznań. Charlie doprowadzał go do szaleństwa na wiele różnych sposobów. Wyzywał Duncana, drażnił go, kpił z niego, dokuczał mu, a i tak nie opuszczał jego umysłu ani na chwilę.

Prawda słów Bena dotarła do jego świadomości, przynosząc prawdę tego wszystkiego, co Duncan czuł. Może Charlie miał rację. Może czasami musiał pierwszy zacząć.

Duncan przykrył dłońmi jego twarz, przytrzymując Charliego dla głębokiego pocałunku. Ich języki ocierały się o siebie nawzajem. Charlie ssał język Duncana, przywodząc na myśl inne rzeczy, w których Charlie był dobry w ssaniu.

Duncan się odsunął.

- Nigdy więcej nie daj się złapać.

- Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz – odpowiedział Charlie z zawadiackim uśmiechem.

- Nie martw się. Z tym, co teraz wiem, jest bezpieczny od lokalnego Departamentu – odezwał się Ben.

- Ale nie od myśliwych – narzekał Duncan.

- Może już czas, żebyśmy ogłosili, że doroczny wyścig jest odwołany? – zasugerował Gibbs.

- Lubię wyścig. To jest jedyna rzecz, w której jestem dobry – poskarżył się Charlie. – Nawet, jeśli zawsze przegrywam.

- Nie, nie jesteś – Duncan mrugnął do niego. – Lubię gonić twój ogon, ale moglibyśmy ograniczyć się do sypialni.

Charlie zmarszczył brwi.

- Możesz być jedynym facetem, którego chcę przez cały czas, ale nie jesteś jedynym facetem, którego pragnę.

Gibbs podszedł go uścisnąć.

- Cieszę się, że wróciłeś, i że jesteś bezpieczny, kolego. Sądzę, że to wymaga uroczystej kolacji.

- Żeby dać prztyczka księżycowi w pełni, iż mnie tym razem nie złapał – zgodził się radośnie Charlie.

- Dla przypomnienia nam wszystkim, co niemal straciliśmy – dodał Duncan. – Co ja niemal straciłem. – Przyciągnął Charliego do siebie, wyciskając czuły pocałunek na jego wargach.

- Ja też cię kocham – odparł Charlie, odpowiadając na niewypowiedziane słowa Duncana.

- Będziesz świętował z nami? – Gibbs zapytał Bena.

Ben kiwnął głową.

- Jeżeli to nie jest przyjęcie tylko dla zmiennych – zażartował. – Jestem tylko źle ubrany na tę okazję.

- Uwierz mi. Wszystko, co potrzebujesz mieć, by iść na to przyjęcie, już masz – powiedział Gibbs z ciepłym uśmiechem.

Ben podniósł swój kieliszek z innymi.

- Za Pełnię Zająca – powiedział Charlie.

- Zdrowie! – odpowiedzieli jednym głosem.

Ben uśmiechnął się dziwnie, kiedy spojrzał na mężczyznę ponad krawędzią swojego kieliszka. Byli piękni, każdy z nich. Wciąż nie był pewny, dlaczego włączyli go w to świętowanie dzisiejszego wieczoru, ale wiedział, że jest dokładnie tam, gdzie chciał być.

Wczoraj wieczorem, na swoim ganku, bawił się w adwokata diabła z Duncanem, udając, że nie wierzy, iż ten pocałunek Gibbsa był czymś więcej niż próbą uwiedzenia. Ale wiedział, że nie, ponieważ Gibbs niczego nie ukrywał. Tak jak Ben nie mógł zrobić nic innego, jak przyznać się sam sobie, że między nimi zbudziło się coś potencjalnie niesamowitego.

Gibbs, Duncan i Charlie naprawdę byli partnerami, i to było widać. Kończyli nawzajem swoje zdania, wkręcali się w żarty i z miłością przyjmowali kpiny, których wydawali się być częścią. Co było bardziej niewiarygodne to to, że już zaakceptowali Bena, jako część tej grupy. Tak szybko, być może zbyt szybko. Nie był pewny. Postanowił, że zobaczy jak sprawy się rozwiną.

Lubił Gibbsa. Bardzo. Z pewnością nie był kochany w sposób, w jaki Gibbs kochał jego tej nocy rok temu, z takim uczuciem. Duncan i Charlie też drażnili się i flirtowali z Benem. Czy Ben naprawdę mógł stać się jednym z nich? Chociaż nie dzielił z nimi ich daru zmiany?

Sączył swoje wino, uśmiechając się do księżyca i rozmyślał o jaskrawożółtej kuli i mężczyznach śmiejących się obok.

Gibbs podszedł od tyłu do krzesła Bena. Delikatnie przesunął palcami po włosach Bena, a Ben spojrzał mu w oczy.

- Cześć – powiedział Ben.

- Cześć – odparł Gibbs z małym uśmiechem na swoich ustach. – Cieszę się, że tu jesteś.

- Ja też.

Gibbs pochylił się i go pocałował. Niewygodna pozycja wywołała u Bena uśmiech pod wargami Gibbsa, ale otworzył się dla niego, pocierając swój język o Gibbsa. Ben dotknął czubkiem języka podniebienia Gibbsa. Ale ten kontakt nie był wystarczająco dobry, nie był wystarczająco słodki na to, czego chciał Ben. Otoczył palcami bicepsy Gibbsa i pociągnął go tak, że usiadł Benowi na kolanach. Teraz, gdy miał Gibbsa tam gdzie chciał, Ben założył ramiona wokół jego pasa i zabrał się głodny za odkrywanie ust Gibbsa.

Pragnął dużo więcej niż pocałunku. Ben rozpiął guzik koszuli Gibbsa i wsunął pod nią rękę dla ukradkowych pieszczot. Gładka skóra spotkała się z jego badającymi palcami, a on nie mógł się powstrzymać i rozłożył szeroko palce, by dotknąć tyle skóry na torsie Gibbs ile zdoła.

Gibbs położył swoją dłoń na ręce Bena, mając między nimi materiał koszuli.

- Możesz poczuć jeszcze więcej, jeśli zdejmiesz moją koszulę – zachęcił go Gibbs.

- Tutaj?

- Pewnie. Nie ma nic, czego ci faceci by już nie widzieli, a czy jest coś bardziej doskonalszego niż seks przy blasku księżyca?

Ben poruszył brwiami.

- Seks, hm?

- Który już planowałeś, czyż nie?

- Tak. Po prostu myślałem, że będziemy bardziej dyskretni.

Gibbs uśmiechnął się, a potem pochylił, by wziąć małżowinę uszną Bena między swoje wargi.

- A czy obmacywanie mnie jest dyskretne?

- Odpuszczamy dyskreccję. Gibbs, zdejmij swoje ubranie. Zamierzam wypieprzyć cię na świeżym powietrzu.

- Teraz mówisz do rzeczy.

Gibbs zerwał z siebie koszulę, odrywając z niej guziki. Duncan zagrzewał go do tego swoją wersją pohukiwania sowy. Charlie wstał ze swojego krzesła, podciągnął Duncana na nogi i zaczął powoli kołysać się w rytm jakiejś bezimiennej melodii, którą tylko oni słyszeli.

Ben odprężył się trochę, kiedy stało się jasne, że znaleźli się w swoim własnym świecie, nie zwracając uwagi na to, co Gibbs i on robią. Ben rozpiął Gibbsowi spodnie i sięgnął do środka, wyciągając jego kutasa. Ben podniósł drugiego mężczyznę i położył go na stole.

- Chcę lepiej ci się przyjrzeć. Nie masz nic przeciwko? – zapytał Ben.

Jako odpowiedź, Gibbs zrzucił swoje spodnie. Żaden z nich nie nosił butów, decydując się poczuć wiosenną trawę między swoimi palcami u nóg, gdy cieszyli się tym wieczorem. Ben był zachwycony tą dalekowzrocznością.

Gibbs podparł się na stole na łokciach. Jego nogi zwisały z krawędzi stołu, a jego dumny kutas stopniowo nabrzmiewał przed oczami Bena.

- Wow – zamruczał Ben.

Gibbs zdjął swoje okulary, szelmowski uśmieszek igrał na jego wargach.

- Twoja kolej.

Ben oderwał wzrok tylko na chwilę, by spojrzeć na pozostałych dwóch mężczyzn, zanim ściągnął swoją koszulkę polo i zdjął dzinsy.

- Wyglądasz tak fantastyczny jak zapamiętałem – powiedział Gibbs.

- Jak mnie widziałeś... oh, czekaj, nocne widzenie sowy?

- Nie tak dobre w ludzkiej postaci, ale lepsze niż u większości – przyznał Gibbs. – Tej pierwszej nocy skończyliśmy zbyt szybko. Druga też była szybka, by naprawdę można było docenić to, co się stało. Ale mam nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

Ben podniósł ramię.

- Zobaczymy jak potoczą się sprawy.

Gibbs kiwnął głową w stronę jego pobudzonego fiuta.

- Powiedziałbym, że pójda w górę.

Uśmiech Bena był wolny i dwuznaczny.

- Nie wiem – drażnił się. – Równie dobrze mogą opaść.

Ben pocałował jeden doskonały obojczyk, podziwiając sposób, w jaki lekka wilgoć pozostawiona po jego ustach, lśniła na skórze Gibbsa w świetle księżyca. Kutas Gibbsa otarł się o pierś Bena, ale obiecał sobie, że sprawy rozwiną się powoli. Ostatnim razem, odmówiono mu wzięcia jego tajemniczego kochanka do ust. Tym razem, Ben zamierzał zrobić to prawidłowo.

Wyciskając ścieżkę pocałunków od sutków Gibbsa w dół, Ben wziął rozszerzoną główkę w swoje usta, omywał ją językiem, ssał i lekko pociągał, drażnił czubek wilgotnymi muśnięciami języka. Gibbs jęknął i odrzucił głowę do tyłu, jego oczy się zamknęły.

Ben był tak pochłonięty daniem niesamowitych wrażeń Gibbsowi, że prawie nie usłyszał jak zbliżyli się pozostali mężczyźni. Ktoś pocałował Bena w łopatkę, przesunął językiem po odkrytej skórze kości. Ben spojrzał ostro, by zobaczyć jak Charlie wspina się na stół, by pocałować Gibbsa. Nagle też pojawił się nawilżacz i prezerwatywy.

Ben prychnął ze zdziwieniem. Chłopcy zaspokajali się w wieloosobowym partnerskim seksie, ale on nigdy nie był jednym z tych partnerów, więc Ben nie był pewny jak zareagować. Ale Gibbs przekrzywił szyję, chcąc dosięgnąć Charliego, który pochylił swoją jasnobrązową głowę, by otwarcie splątać się z nim językiem.

Ben patrzył zafascynowany, kiedy całowali się przy publiczności, lizząc się zanim ich usta się dotknęły, przygryzając wargi i ciągnąc za nie zmysłowo. Oczy Bena zabłyśły na ten erotyczny obrazek, podczas gdy Duncan składał lekkie pocałunki wzdłuż kręgosłupa Bena.

To łaskotało, jakby jego pleców dotykały małe skrzydła motyli, które były też gorące i wilgotne. Gibbs nakłonił Bena, by dalej całował jego klatkę piersiową, więc Ben zgiął się do zadania, nadal trzymając oczy przyklejone do erotycznego tańca między ustami Gibbsa i Charliego.

Gibbs zassał ostro powietrze, gdy Ben doszedł do jego brzucha. Ben odtrącił kutasa Gibbsa na bok, kontynuując swoją ścieżkę w dół. Rozsunął gwałtownie uda Gibbsa. Gibbs zwrócił tam spojrzenie i zobaczył jak Ben bierze jego jądra w usta. Charlie zasypał deszczem pocałunków barki Gibbsa, jego palce zacisnęły się na sutkach Gibbsa i zaczęły rytmicznie pociągać i skręcać.

Ben nigdy nie był częścią niczego bardziej erotycznego.

Za nim, Duncan doszedł do szczytu tyłka Bena. Duncan musiał uklęknąć, ponieważ rozdzielił poślądki Bena i przeciągnął językiem przez szczelinę między nimi. Ben zadrzał, nieświadomie zasysając mocniej jądra Gibbsa. Gibbs zajęczał szorstko.

Charlie przesunął Gibbsa. Ben mruknął, że mu przeszkadzają, ale wtedy stwierdził, że dzięki nowej pozycji Charlie znalazł się pod Gibbsem, a jego członek strzela w górę między udami Gibbsa. Dwa koguty, dwa podwójne jądra.

Język Duncana jeszcze raz go liznął. Ben krzyknął. Na chwilę zgubił bieg swoich myśli, ponieważ Duncan skupił się na odbyciu Bena, okrążając wrażliwe ciało swoim pracowitym językiem, badając, drażniąc, całując.

- Ben – odezwał się Charlie, przyciągając jego uwagę.

Ben spojrzał na niego oszołomiony. Charlie podał mu tubkę nawilżacza ze stołu. Ben popatrzał na nią obojętnie, zanim zdał sobie sprawę, co miał zrobić. Wziął nawilżacz i pogładził długiego, wąskiego, obleczonego już w prezerwatywę członka Charliego. Potem przytknął tubkę do dziurki Gibbsa.

Gibbs uniósł się i opadł na członka Charliego, jęcząc rozpaczliwie, kiedy jego ciało z siłą zostało nagle rozciągnięte. Charlie przeklął szpetnie.

- Do cholery, Gibbs. Nie ostrzegłeś mnie. Niemal straciłem mój ładunek – poskarżył się Charlie.

- Podaj nawilżacz – odezwał się Duncan z tyłu Bena.

Ben praktycznie podetknął Duncanowi nawilżacz pod nos. Chłodny i śliski żel dotknął jego tyłka. Ben nie mógł już dłużej ignorować wspaniałego grubego pala przed sobą. Chwytając kutasa Gibbsa z zapalem wziął jego czubek do swoich ust.

W tym czasie palec wsunął się do tyłka Bena. Jęknął wokół kutasa Gibbsa. Gibbs zacisnął dłoń we włosach Bena. Uklęknął, siadając na biodrach Charliego, gdy ten zaczął pompować w Gibbsa, a Ben brał w usta głębiej jego kutasa zgodnie z pchnięciami Charliego.

Duncan złapał biodra Bena i pchnął do przodu. Ben krzyknął, przenosząc vibracje na Gibbsa, który wydawał się być zagubiony w swoim własnym świecie ekstazy. Duncan brał mocno tyłek Bena, objając się o niego swoich jądrami.

Gibbs był w ciągłym ruchu. Jego miednica otarła się o nos Bena. Umysł Bena rozplynął się w męskim zapachu. Pachniał kutasem i rozgrzaną skórą, zgniecioną trawą i sosną. Nagle, Charlie wybuchnął, dodając świeży aromat wytrysku do krzyku, które rozbrzmiały w noc. Duncan zaczął mocniej pieprzyć Bena, wbijać się w jego tyłek. Gibbs wygiął biodra, chwytając włosy Bena i przytrzymując go tam, gdzie potrzebował. Gibbs dyszał ciężko, jego gwałtowne wdechy brzmiały niczym syk. Z ostatnim krzykiem, trysnął Benowi do gardła. Ben szybko przełykał, ssąc go do końca.

- Nie dochodź – powiedział mu Duncan.

Nie dochodź? Czy on jest szalony?

Jednak Duncan nie żartował. Ścisnął podstawę fiuta Bena, wstrzymując jego wytrysk, a tymczasem Duncan wrzasnął i wypełnił tyłek Bena wszystkim, co miał.

Duncan wysunął się z ciała Bena, przekręcił go i praktycznie rzucił Bena na trawę. Trzej mężczyźni rzucili się do niego. Ben zamknął oczy, nie dbając o to, gdzie byli inni ani kto co robił. Wszystko, co wiedział to to, że jego ciało było pieszczone, drażnione, szczypane. Trzy pary warg ssały, a sześć par rąk wszędzie go dotykało. Nawet palce u nóg nie zostały zignorowane.

Jego plecy wygięły się, kiedy znowu powróciło napięcie, a ktoś ponownie ścisnął jego fiuta nie pozwalając wybuchnąć, dokładając tylko do erotycznego ognia, który rzucał jego głową i błagał o dojsście, a jednocześnie nie chciał, aby to kiedykolwiek się skończyło.

Ktoś przygryzł jego sutek. Ktoś inny ssał jego fiuta.

- Ben, spójrz na mnie.

To był Gibbs, a Ben nie mógł niczego odmówić Gibbsowi. Otworzył oczy.

- Dojdź dla mnie – rozkazał Gibbs.

Uścisk zniknął z podstawy fiuta Bena, a wtedy wystrzeliła z niego sperma, tryskając w powietrze i zraszając cztery zwinięte, spocone i zaspokojone ciała.

Ben zapatrzył się w ciemne niebo w zdumieniu, jego usta były otwarte i całkowicie oniemiały.

Gibbs go pocałował.

- A więc, czy nasz układ ci pasuje?

Duncan oparł głowę o brzuch Bena. Charlie rozłożony między nogami Bena, całował Duncana bez pośpiechu.

Ben się roześmiał.

- Czy to znaczy tak? – zapytał Gibbs uśmiechając się.

Ben potrząsnął głową, wciąż czując zawroty po spotęgowanych uczuciach, których jeszcze nie przetworzył.

- Nie, skarbie. To jest jak diabli tak.

Epilog

Rok, cztery miesiące, jeden tydzień i trzy dni później...

- Dlaczego na całym łóżku są pióra? – zawołał Ben z pokoju.

Gibbs uśmiechnął się, odstawił szklankę z mlekiem i poszedł w tamtą stronę.

- Oh, nie wiem. Może dlatego, że zmieniłem się tutaj po moim nocnym locie?

Ben nie wyglądał na zadowolonego.

- I nawet nie chciało ci się posprzątać?

Gibbs podniósł jedno z piór.

- Wcale nie jest łatwo pozostawić po sobie pióra. Zazwyczaj się wchłaniają.

- Co tu się stało?

- Liniję.

Ben spojrzał na niego beznamiętnie.

- Poważnie?

- Tak sobie myślę, że może moglibyśmy użyć ich wieczorem do małej seks zabawy.

Rozdrażnienie Bena zmieniło się w zaciekawienie.

- Hej, może być zabawnie.

Gibbs podszedł bliżej, by pomóc Benowi zrobić łóżko.

- Myślisz, że chłopaki będą chcieli się zabawić? – zapytał Ben.

- Chcesz ich do tego włączyć?

- Minęło kilka tygodni od czasu jak wszyscy uprawialiśmy seks. Sądzę, że powinniśmy się upewnić, żeby tak się stało.

Ben rzucił mu poduszkę, żeby ułożył w głowie łóżka.

- Co masz na myśli?

- Mówią, że makaron jest afrodyzjakiem. Ale biorąc pod uwagę fakt, że chcę zorganizować imprezkę z żółwiem i zającem, to lepsza będzie sałata – kpił Gibbs. – I marchewka.

Ben się roześmiał.

- Całkiem nieźle przyzwyczyłeś się do czwórki, co? – Gibbs miał nadzieję na twierdzącą odpowiedź.

Ben wzruszył ramionami.

- Jak na to inaczej się mówi? A ménage a quatre?

- Zależy. Ménage oznacza związek trojga ludzi. A skoro w związku jest ich czworo, nie sądzisz, że powinniśmy uczynić go bardziej oficjalnym?

Ben przekrzywił głowę.

- Wszystkie moje rzeczy są tutaj i spędzam tu prawie wszystkie noce, odkąd zaczęliśmy się spotykać. Jak bardzo oficjalne powinno to jeszcze być?

Gibbs na czworakach przeszedł przez łóżko, klękając, gdy znalazł się przy Benie. Zawinął ramiona wokół mężczyzny swoich marzeń.

- Ty musisz to sprawić. Nigdy tak naprawdę nie powiedziałeś, że tu zostaniesz. Więc. Zostaniesz?

Ben go przytulił.

- Jeśli tego chcesz.

- Sądzę, że pokazałem ci to wiele razy przez miniony rok. Bardzo lubię cię mieć. I nie mogę się doczekać, kiedy będę cię znowu miał, dziś wieczorem – zażartował Gibbs. Mimo to, chciał wiedzieć, więc zajął Benowi w oczy, mając nadzieję zobaczyć w nich to, co chciał tam znaleźć. – Zostaniesz?

- Naprawdę muszę to powiedzieć?

- Tak – wyszeptał Gibbs.

Ben dotknął włosów Gibbsa, jego policzka.

- Nigdzie się nie wybieram. Moja umowa najmu na chatę wkrótce się kończy, ale wszystkie moje rzeczy są już tutaj. Więc czy utrata innej opcji zamieszkania nie jest wystarczającym dowodem na to, że z pewnością nie odejdę?

- W takim razie witaj w domu. – Gibbs się uśmiechnął, jego pierś wypełniła się czymś głębszym niż potrafił wyrazić słowami. Jednak spróbował. – Kocham cię.

- Wiem. Powiedziałeś mi to wczoraj wieczorem. – Ben go pocałował. – I poprzedniej nocy, i jeszcze poprzedniej. – Chwycił twarz Gibbsa w swoje ręce. – Ja też cię kocham. Nigdy o tym nie zapominaj.

- Obiecuję, że nie zapomnę.

Ben przytulił go mocno.

- No więc, pomożesz mi przygotować kolację, żeby uwieść naszych pozostałych mężczyzn?

- Absolutnie.

Ben rzucił okiem przez ramię w stronę drzwi od sypialni.

- A tak przy okazji, gdzie oni są?

- Oh, mogę już to powiedzieć. Znajdują się na brzegu stawu, a Duncan właśnie się zorientował, że Charlie przeszedł już most.